

B  
WF  
UW

32295

JAN PASEK

i

JEGO PAMIĘTNIKI

32295

opracował dla ludu

J. BYSTRZYCKI.

Odbitka z „Krakusa.”

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFIS PAN i PTF

**U.32295**



3903229500000

W KRAKOWIE,

GLÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.

1893.



32295



H-121373

NAKLADEM AUTORA.

W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP  
pod zarządem J. Łakocińskiego.

K.  
5.3.66  
A.88/66  
UM.

Przed dwustu kilkudziesięciu laty, za panowania trzech z kolei naszych królów: Jana Kazimierza, Michała Wiśniowieckiego, Jana Sobieskiego, żył szlachcic, nazwiskiem Jan Pasek.

O życiu jego wiemy bardzo mało. Kiedy się urodził, nie wiadomo. Nauki pobierał u księży Jezuitów i prawdopodobnie ówczesnym zwyczajem wcześniej wstąpił do wojska, woląc służyć w tak ciężkich przygodach Ojczyźnie z bronią w ręku, niż ślęczyć nad książką. Służył przez cały czas pod Stefanem Czarnieckim, do którego był całą duszą przywiązany, bo był to i wódz znakomity i prawy obywatel i prawdziwy ojciec dla całego wojska. Pod jego komendą odprawił też Pasek prawie wszystkie wojny za Jana Kazimierza przeciwko Szwedom, Rakoczemu i Moskałom.

„Poprostu — powiada Pasek — wszystka moja służba była pod jego dowództwem i miła bardzo“. To też nie dziwnego, że po śmierci ukochanego wodza, znudziła się mu służba wojskowa, a i lata mu już ciężły, więc opuścił raz na zawsze szeregi i osiadł na gospodarstwie, chodząc dzierżawami. Wtedy też ożenił się Pasek z niejaką Łucką, wdową, już dość pełnoletnią, a w dodatku z sześciorgiem dzieci. Podobnie, jak data narodzenia, tak i rok śmierci jest niewiadomy. Z róż-

nych przyczyn wnioskujemy, że umarł wnet po roku 1702, bo w tym roku są jeszcze o nim wzmianki, jako o żyjącym. Tyle tylko szczegółów znamy z jego życia. Jedyną spuścizną po nim są jego *Pamiętniki*, w których opisuje rok za rokiem koleje swego życia, wyprawy wojenne, w których brał czynny udział, lub o których wiedział z opowiadań innych. Obejmują one przeciąg czasu od roku 1656 do 1688, a reszty brakuje. Długi czas leżały w ukryciu, nieznane nikomu, aż w r. 1836 odkrył je uczony nasz hr. Edward Raczyński w bibliotece w Petersburgu, dokąd się dostały wraz z tysiącami innych dzieł, które Moskale w Polsce zrabowali i do Petersburga unieśli. Od chwili pojawienia się podobały się ogólnie i do dziś dnia chętnie je każdy odczytuje, gdyż można się z nich wiele nauczyć, poznać ówczesne stosunki, zwyczaje, obyczaje, bo to wszystko Pasek opisuje bardzo wiernie i trafnie, a przystępnie i w sposób dla każdego zrozumiały. Nie pisze on bynajmniej historyi tych czasów, ani nie pisze dla powszechnego użytku i ogólnej znajomości. Cel, dla którego pisze te *Pamiętniki*, i do którego one miały służyć, sam wyluszcza na jednym miejscu „zamiar mój jest, aby opisać życie moje, nie zaś stan Rzeczypospolitej, a to z tej przyczyny, żebym sobie mógł przywieść na pamięć każde moje czyny, przeczytawszy w piśmie, gdyby ich pamięć nie mogła dotrzymać“. Pisał więc tylko dla swej przyjemności i swego użytku, a nie dla ogółu, ani nie dla nauki, mimo to służą one wybornie do poznania tych czasów, w których powstały. Można się też, czytając te *Pamiętniki*, znakomicie ubawić i uśmieć do syta, tak opowiada z humorem i zabawnie. Obok rzeczy poważnych i pouczających, opisuje różne

figle, jakie albo sam pisał, lub jego towarzysze, a to przeplatanie opowiadania zabawnymi dykteryjkami sprawia, że czyta się ten pamiętnik z prawdziwą przyjemnością.

Czasy, w których żył Pasek i które opisał, były bardzo burzliwe i pełne nieszczęść dla naszej Ojczyzny. Doświadczał Pan Bóg nasz kraj, śląc na niego klęski i utrapienia wszelkiego rodzaju. Rozpoczęły się te smutne, ciężkie chwile już pod sam koniec panowania króla Władysława IV. w r. 1864, a więc już 200 kilkadziesiąt lat temu.

Pod koniec panowania tego monarchy, wybuchły wojny z Kozakami, którzy za namową złych ludzi zamiast na wrogów Wiary św. na Turków albo Moskwę, rzucali się na Polskę, pod której opieką i zwierzchnością zostawali. Na wieść o pierwszej klęsce, jaką Kozacy nieprzygotowanym Polakom zadali, umarł nagle Władysław IV. Wstąpiwszy na tron, brat jego Jan Kazimierz, znalazł się odrazu w tak strasznym położeniu, jak żaden z jego poprzedników ani następców. Krwawa wojna trwała dalej, bo Kozacy sprzymierzyli się z Tatarami, narodem dzikim i srogim nieprzyjacielem chrześcijańskiej Wiary i wspólnymi siłami prowadzili wojnę z Polską. Lała się tedy obficie krew bratnia, aż po wielu bitwach i ustawicznych utarczkach Kozacy zostali pokonani i upokorzeni. Do trwałej jednak zgody i pewnego spokoju z nimi nie przyszło nigdy, bo Kozacy ustawicznie zrywali się do wojny, zwłaszcza potem, gdy poddali się Moskwie, która ich do siebie obietnicami wabiła, pragnąc ich obrócić na Polskę. Jeszcze nie skończyło się to nieszczęście, nie zagoiły rany, jakie ta wojna zadała naszej Ojczyźnie, nie odbudowały

popalone miasta i wsi, gdy nowa z innej strony na nieszczęśliwy kraj zwała się klęska. Tą klęską była nowa wojna, najazd *Szwedów*, narodu zamorskiego, który widząc Polskę z dwóch stron od wrogów zagrożoną i ciężką wojną osłabioną, żywił niepłonną nadzieję, że im się uda jakąś część kraju urwać i sobie przywłaszczyć. Polacy wskutek tych ciągłych i strasznych nieszczęść, klęsk, zupełnie upadli na duchu; nikt się już nie opierał temu nowemu a groźnemu nieprzyjacielowi, który też nie znajdując nigdzie oporu, zajmował kraj cały. Jeden Kraków, którego bronił dzielny wojownik i zacny obywatel, *Stefan Czarniecki*, usiłował stawić opór, ale i on uległ po bohaterskiej obronie przemocy nieprzyjaciół. Nieszczęśliwy król, nie czując się nigdzie bezpiecznym, musiał wraz z małżonką i niektórymi senatorami opuścić kraj, który wszyscy mieli już za stracony i schronić się na Śląsk. Cieszył się więc dziki najezdca, że piękny i bogaty kraj tak łatwo i tak prędko zdobył; lecz się bardzo zawiódł. Opuścili wszyscy, nawet własni obywatele swą Ojczyznę w tem straszmem nieszczęściu, jedni z rozmysłu, inni straciwszy zupełnie nadzieję ocalenia, lecz jej nie opuścił Pan Bóg i Najświętsza Panna, którą zawsze czcili nasi przodkowie, jako szczególniejszą swą Opiekunkę i Dobrodziejkę, która otaczała Swą łaską i opieką po wszystkie czasy naszą Ojczyznę. Dlatego też modlimy się jeszcze do dziśdnia w litaniach: „Królowo Korony Polskiej — módl się za nami“, bo ona zawsze, we wszelkich przygodach osłania Swą opieką tę polską Koronę. Nie opuściła też nas Najświętsza Panna i w tej okropnej niedoli. Już wszystkie warownie zajęli Szwedzi, łupiąc i niszcząc wszystko, co im wpadło pod

rękę, nie szcędząc nawet świątyń Pańskich, które w okropny sposób bezcześcili, zamieniając je na stajnie, tylko jedna Częstochowa była wolna od ich napadu. Ale bogactwa wslawionego, jako miejsce pobożnych pielgrzymek, klasztoru OO. Paulinów, w którym znajduje się ów cudowny obraz Matki Najświętszej, nie dawały im spokoju. Oblegli tedy i ten klasztor w nadziei bogatych zdobyczy, które spodziewali się zabrać z kościoła. Nieliczna garstka okolicznej szlachty z zakonnikami bronila z zapalem i zdumiewającą wytrwałością cudownego miejsca. Przez pięć tygodni odpierała z bohaterską odwagą ustawiczne i zaciekle szturmury Szwedów, których cheiwość, a potem wstyd i wściekłość, że tego, jak mówili obelżywie, *Kurnika* nie mogą zdobyć — pchała bez przerwy do walki. Sądząc po ludzku, obrona była niemożliwa. Z jednej strony szczupła garstka obrońców, z drugiej kilkanaście tysięcy starego, wyćwiczonego żołnierza, który daleko potężniejsze warownie zdobywał, a przytem dobrze zaopatrzonego we wszelkie przybory wojenne, o których obrońcom ani się śniło. Lecz obrońców wspierała Najświętsza Panna, do której ustawicznie ślali modły o pomoc i ratunek. Wiara w tę pomoc, ufność w nią i widoczne prawie dowody tej opieki, dodawały garstce obrońców odwagi i wytrwałości, zdwajały ich siłę i męstwo. Jakoż po pięciu tygodniach rozpaczliwej obrony z jednej, a wściekłych szturmów i usiłowań podstępnych z drugiej strony, Szwedzi uznali dalsze obleżenie za bezcelowe i natraciwszy ludzi i przyborów wojennych, z wielkim wstydem musieli odstąpić od klasztoru, który teraz podwójną zajaśniał chwałą, jako miejsce tak cudownie bronione przez Najświętszą Pan-

nę. Lecz nie na tem koniec. Obrona ta wywarła zba-  
wienny wpływ na cały kraj, napelniła otuchą serca  
wszystkich tych, którzy już zupełnie zwątpili o ocale-  
niu i w gnuśnej bezczynności wyczekiwali końca i tak  
dalece zmieniła umysłu wszystkich, że cały kraj do  
niedawna jeszcze nie myślący o obronie, powstał jak  
jeden mąż i uderzył na Szwedów. Dzielny i niezmor-  
dowany Czarniecki, o którym już raz wspomnieliśmy  
przy obronie Krakowa, na czele ochotników bił raz po  
raz całe wojska szwedzkie.

Wojnę tę opisał Pasek, bo w niej czynny brał  
udział. Nie mamy jednak opisu całej wojny, bo począt-  
tek zaginął, tylko jej koniec, kiedy to Szwedom coraz  
ciaśniej i niewygodniej zaczęło być u nas, bo ich ze  
wszystkich stron nasi przypierali.

Chcieli tedy zmykać do swego kraju i zabrać ze  
sobą ogromne bogactwa zrabowane w naszej Ojczy-  
źnie, ale ich dopadł Czarniecki i tak wyciął, że —  
jak powiada Pasek: „ani zwiasticiel klęski nie został  
się i jeden, któryby był królowi o zginieniu tego woj-  
ska wieść zaniósł; bo który z pobojo-wiska do lasu  
albo na błota uciekł, tam od ręki chłopskiej okrutniej-  
szą zginął śmiercią; kogo chłopie nie wytropili, mu-  
siał wyjść do wsi albo do miasta, gdzie postaremu zgi-  
nąć mu przyszło, bo już nigdzie nie było Szwedów.  
Z wszystkich tedy tych zginionych nie wiem, jeżeliby  
się który znalazł, który nie miał być wypaproszony,  
a to z tej okazyi: zbierając chłopie zdobycz na pobojo-  
wisku, nadeszli jednego trupa tłustego z brzuchem okru-  
tnie szablą rozciętym tak, że wnętrzości z niego wy-  
szły; więc że kiszka przecięta była, zobaczyli jeden  
czerwony złoty (pieniądz polski); dalej szukając zna-



leźli więcej; dopieroż zaczęli innych pruć, a tak znajdowali miejscami złoto, miejscami też błoto. Nawet i tych, co po lasach żywcem znajdowali, to wprzód koło niego poszukali trzosa, potem brzuch nożem rozzerznawszy i kiszki wyjąwszy, a tam nic nie znalazłszy, dopiero: „idźże złodzieju, pludraku do domu, kiedy zdobyczy nie masz; daruję cię zdrowiem“.

Topnieli tedy Szwedzi, jak śnieg na wiosnę, gdy ciepłe powieją wiatry, tracili coraz bardziej grunt pod nogami i wszelkie oparcie, bo i z twierdz ich powypierano, a wreszcie wypędzono zupełnie z granic Polski, hen za morze, skąd jak rozbójnicy napadli na spokojny, nie im niewinny kraj. Równocześnie z tym nieproszonym gościem, z jego namowy, wpadł od strony Karpat ksiązę siedmiogrodzki, *Rakoczy*. Zebrał on 50 tysięcy hołoty z całego świata i rabował i niszczył już i tak okropnie długoletnią wojną znękany kraj, aż mu wybito tę hołotę do szczętu, a on sam zaledwo za okupem wyniósł z Polski całą głowę. Posłuchajmy, jak zabawnie opisuje Pasek ten napad.

„Złodziej Węgrzyn, szalony Rakoczy, świerzbiała go skóra, tęskno mu było z pokojem, zachciało mu się polskiego czosnku, który mu ktoś na żart zachwalił, że miał być lepszego niżli węgierski smaku. Otóż pan Rakoczy we czterdzieści tysięcy Węgrów z Multanami, Kozaków zaciągnawszy drugie tyle, wybrał się na czosnek do Polski, aleć dano mu nietylko czosnku, ale i dziegłu z kminkiem. Bo jak on tylko wyszedł za granicę, zaraz Lubomirski Jerzy poszedł w jego ziemię, palił, ścinał, gdzie tylko zasiągnął, wodę a ziemię zоста-

wując. Potem od matki Rakoczego wielki okup wziąwszy, wyszedł synowi perswadować, żeby wszystkiego czosnku nie zjadał, i przynajmniej na rozmnożenie zostawił. A my też już z Czarnieckim posługiwali, jakśmy umieli; i tak szczęśliwie najadł się czosnku, że wszystko wojsko zgubił, sam się w nasze ręce dostał; potem uczyniwszy targ o swoją skórę, pozwolił miliony, i uprosiwszy sobie zdrowie, jako żyd do granicy, w bardzo małym poczcie, udał się, kilku tylko wielmożnych hrabiów zostawując w zastaw umówionego okupu, którzy zrazu wino pili, na srebrze jadal w Łańcucie; jak zaś nie było widać okupu, pijali wodę, drwa do kuchni rąbali i nosili, i w tej nędzy żywot kończyli. Okup przepadł, on też sam (Rakoczy) nigdzie nie mając oka wesołego, bo gdzie się obrócił, wszędzie płacz i przekleństwo słyszał od synów, mężów, braci, których na wojnie polskiej, pogubił, wpadł w desperacyę i umarł. Otóż masz czosnek!“

Niemniej pięknie i żywo jest opisana wyprawa Czarnieckiego do Danii.

Wypędziwszy Szwedów z kraju, wyprawił się Czarniecki z kilkoma tysiącami wojska na pomoc Danii, kraju sąsiadującego ze Szwedami, na którym mścili się Szwedzi za to, że nie chciał im pomóc do zawojowania naszej Ojczyzny, lecz przeciwnie podczas ich nieobecności napadli Duńczycy na kraj Szwedów i strasznie go niszczyli, przez co przysłużyli się nam, bo Szwedzi, wzięci we dwa ognie, byli skłonniejsi do zgody. Przybywszy do Danii, odebrał Czarniecki Szwedom wszystkie warownie, które Duńczykom zabrali. Między innemi zdobyli Polacy warowny zamek, nazwiskiem Koldyng. Posłuchajmy, jak się to stało.

Skoro się Szwedzi dowiedzieli, że Czarniecki zamysła zdobyć ten zamek, naśmiewali się z Polaków, że bez armat porywają się na warownię. „Na konnych mówili — że to ludzie do szturmów nie zwyczajni i pójdą w rozsypkę, jak raz ognia dadzą, co nam sami więźniowie powiadali“.

Ale Polacy poradzili sobie. Każdy kazał nieść przed sobą snop słomy i tak zabezpieczył się od kul, które w owym snopie zostawały. Kiedy już wszystko było gotowe do szturm, przyjeżdża wojewoda i mówi: „Niechże was Bóg ma w Swojej opiece i Imię Jego święte. Ruszajcież, a jak przez fossę przeprawicie się, skoczcie pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić“. Skorośmy tedy do fossy przyszli, okrutnie poczęły parzyć owe snopy słomy. Już się czeladzi trzymać uprzykrzyło i poczęli je ciskać w fossę; jaki taki obaczywszy pierwszych, także to czynił, i wyrównali ową fossę tak, że już daleko lepiej było przeprawiać się tym, co na ostatku szli, niżeli nam, cośmy szli w przodzie z pułku królewskiego; bo źle było z owemi snopami drapać się do góry po śniegu na wał; kto jednak swój wyniósł, pomagał i znajdował w nich kulę, co i do połowy nie przewierciała.

Skoczyliśmy tedy we wszystkim biegu pod mury, a tu jako grad lecały kule, a tu jaki stęknie, jaki taki o ziemię się uderzy. Dostało mi się tedy z moimi pacholkami, że przy srogim filarze, albo raczej narożniku, było jakieś okno, w którym srodze gruba, żelazna krata; zaraz tedy przed ową kratą kazałem rąbać na odmianę; ci się zmordują, a ci wezmą. Było zaś na drugim piętrze nad nami także takie okno, z taką kratą; z tam-

tego okna strzelano do nas, ale tylko z pistoletów, bo z innej strzelby nie mógł strzelać do nas i wysadzać się nijak, dla owej kraty; chyba tam do dalszych mógł strzelać. Jam też kazał do góry nagotować 15 strzelb, i jak który rękę wytknie, zaraz dać ognia. I tak się stało, aż oto i pistolet na ziemię upadł. Nie śmieli tedy już więcej rąk pokazywać, ale tylko kamienie wypychali na nas przez ową kratę, ale już się tego przecie snadniej można było uchronić, niżeli kuli. Tymczasem jak rąbią tak rąbią mur, i naokolusieńko nie wiedzieć, gdzieby Szwedom ręce wrazić. Kiedy już końce owej kraty widać, radziśmy, bo tu już grad kul na nas nie pada; rozkosz, by coprędzej wnijsć pod dach, ale że nie było czem owej kraty wyważyć, musieli jeszcze dalej rąbać. Skoro mógł się jeden zmieścić, aż ja każę czeladzi wlaźć po jednemu. Wolski, jak to chłop chciwy, żeby to wszędy być wprzód, rzecze: „ja wleżę“. Tylko wlaźł, a Szwed go tam za łeb. Krzyknie. Ja go za nogi; tam go do siebie zapraszają; my go też tu nazad wydzieramy; ledwieśmy chłopca nie rozerwali; woła na nas: „dla Boga, już mię puśćcie, bo mię rozerwiecie!“ Krzyknę ja na swoich: „Dajcie w okno ognia.“ Włożyli tedy kilka strzelb w okno i dali ognia; zaraz Szwedzi puścili Wolskiego; dopieroż my po jednemu owem oknem leźli; już nas tam było z półtorasta; tymczasem idzie kilka rot muszkieterów, co to znać ztamtąd uciekli; już prawie wchodzą do sklepu, aż tu nasi dadzą ognia w kupę; padło ich sześciu, drudzy w nogi na dziedziniec. Wychodzimy tedy sobie szczęśliwie ze sklepu i stawamy szeregiem w dziedzińcu, a tu naszych coraz więcej ową dziurą przebywa. Obaczywszy nas Szwedzi na dziedzińcu, dopiero poczęli

trąbić i horągwią białą wywijać, co jest znakiem prośnienia o miłosierdzie, odmieniwszy w krótkim czasie zwyczaj narodu swego świńskiego; powiadali bowiem dawniej, że o pardon prosić nie będą. Z kupy tedy rozchodzić się nie dałem, aż póki nie obaczę powszechnego zamięszania w wojsku nieprzyjacielskiem. Wolski także ze swoimi w dziedzińcu. Nie masz nic. Wszyscy ludzie porozsadzeni i każdy swojej pilnował kwatery. Aż tu widać po schodach z tych pokojów, gdzie sam był komendant, że schodzą na dół muszkietierowie. Mówię do swoich towarzyszków: „a otóż mamy gości“. Kazaliśmy tedy stanąć czeladzi szeregiem, nie kupą, tak jakoby półksiężycem, bo nie tak razi szeregiem jak w kupie; i rozkazaliśmy po wydaniu pierwszego ognia, zaraz wzięść na szable. A tam w wojsku muzyka trąbi, w kotły biją, hałas, krzyk, grzmot; wychodzą tedy w dziedzińiec i zaraz stawają do ordynku; my też do nich postępujemy; już tylko ognia dać do siebie. A tymczasem z tych pokojów, co przy bramie, poczną uciekać; bo się już był Tetwin, oberszt-lejtnant, z dragonią złamał; skoczymy tedy na tych, co nam w czole dadzą ognia; z obu stron kilku padło, i tam też wzięliśmy ich na szable; wpadło ich kilku na schody, z kądem przyszli; drugich zaraz lewem skrzydłem przerznięto od schodów, i nuż ich siec. Ci, co tam uciekają przed Tetwinem, prawie jako pod smycz nam przychodzą; jak tedy tych, tak i tamtych położyliśmy mostem; dopiero co żywe z naszego rycerstwa w rozsypkę, w rabunek po pokojach; po tych tamto kątach zamkowych biorą, ścinają, gdzie kogo zastaną, i zdobyć wynoszą.

Gdy się to dzieje, wchodzi też Tetwin z dragonią, rozumiejąc, że najpierwszym w zamku będzie, a tu trupa leży moc, a nas tylko z piętnastu stoi towarzystwa, bo się już od nas porozbiegali, i żegna się, mówiąc: „a tych ludzi kto narznął, kiedy was tu tak mało?“ „My,“ odpowiedział Wolski, „ale i dla was będzie, ano wyglądają z wieży“. A wtem prowadzi tłustego oficera młody wyrostek. Ja mówię: daj sam, zetnę go; on prosi: niech go pierwszej rozbiorę, bo suknie na nim piękne pokrwawiają się. Rozbiera go tedy; wtem przyszedł Adamowski i mówi: panie bracie, gruby ma kark na waszmości młodą rękę; zetnę ja go. Targujemy się tedy, kto go ma ścinać, a tymczasem wpadli nasi i do sklepu, w którym były prochy w beczkach; pobrawszy insze rzeczy, biorą też i prochy w czapki, w chustki, kto w co ma. Dragon zdrajca przyszedł z lontem zapalonym i bierze też proch, aż jakoś iskra dopadła. O Boże Wszchemogący, kiedy to huknie impet, kiedy się mury poczną trzaskać, kiedy owe marmury, alabastry latać! A była tam wieża na samym rogu zamku nad morzem, na której wierzchu nie było dachu, tylko płasko, cyną wszystka pokryta, tak jak w izbie posadzka; rynny dla spływania wód mosiężno-złociste, a wkoło tego statuy także na rogach także z mosiądzu, a grubo-złociste; miejscami też osoby z białego marmuru, takie właśnie, jakoby żywe. Bo lubom ich tam nieszkodzonych zbliśka nie widział, ale po rozruceniu przypatrowaliśmy się; a jedną wyrzuciły prochy całą, nienaruszoną na tę stronę ku wojsku, która właśnie taka była, jak kobieta żywa, do której na dziwy się zjeżdżali, jeden drugiemu powiadając, że tam leży żona kommandanta, wyrzucona prochami; a tu

leżała owa statua, rozkrzyżowawszy się w kształcie, jako człowiek z pięknego ciała stworzony, że rozeznąć tak trudno było, aż prawie pomacawszy dopiero twardość kamienną.

Na tej wieży, albo raczej sali, królowie uciechy swoje miewali, kolacze jadali, tańce i różne odprawiali zabawy, bo jest w ślicznem bardzo położeniu; może z niej wszystkie prawie królestwa swego widzieć prowincye, ale i część Szwecyi widać. Tam na tę wieżę komendant i wszyscy, co przy nim byli, uciekli, i ztamtąd o darowanie życia, lubo nierychło, prosili; co mogliby byli otrzymać, ale te prochy, które właśnie pod tą wieżą zapaliły się, wyniosły ich bardzo wysoko, bo wszystkie owe porozsadzawszy piętra, jak ich wziął impet, to tak lecieli do góry, przewalając się tylko przed dymem, że ich okiem pod obłokami nie mógł dojrzeć; dopiero zaś impet straciwszy, widać ich było lepiej, kiedy nazad powracali, a w morze jako żaby wpadali. Chcieli niebożęta przed Polakami uciec do nieba, aleć ich tam nie puszczono; Piotr święty przywarł zaraz furtkę, mówiąc: „A wszak wy zdrajcy powiadacie, że świętych łaska na nic się nie przygodzi, instancya ich do Pana Boga nieważna i niepotrzebna; w kościołach w Krakowie chcieliście stawiać konie, strasząc Jezuitów, aż wam musieli nieboraczkowie złożyć się na okupną jako poganom; teraz częstował was Czarniecki pokojem i zdrowiem chciał darować, pogardziliście. Pamiętacie, coście w samdomierskim zamku zdradziecko prochy na Polaków podsadzili, a przecie i tam Pan Bóg obronił od śmierci, kogo miał obronić; wyrzuciły prochy pana Bobołę, szlacheica tamecznego, i z koniem aż za Wisłę na drugą stronę, a przecie zdrowy został;

i teraz strzelaliście gęsto, a nie wieleście Polaków nabili; czemu? bo ich Aniołowie strzegą, a was czarny, a toż macie jego usługę“

Drugim sławnem dziełem Czarnieckiego, dokonanem w Danii, jest zdobycie wyspy *Alsén*. Był to dość spory obszar ziemi, naokoło oblany morzem, i dobrze wojskiem obsadzony. Nie mógł Czarniecki zostawić tej wyspy w spokoju, ani pominąć, bo załoga jej niepokoiła Polaków, „porywała czeladź na czatach i zdobywcz odbierała“. Ale zdobycie bez armat było prawie niepobieństwem. Nie dał się jednak Czarniecki tą trudnością odstraszyć i posłuchajmy, jak sobie poradził:

„W pewnem miejscu odcięliśmy lód siekierami, bo morze jeszcze z brzegu nie było puściło, lubo nie bardzo było zimno i pogody były piękne; to samo uczyniła dragonia na drugiej stronie; a stało się to w lot, że załoga nie wiedziała, ażeśmy już na drugim lądzie byli, bo sobie siedziała w mieście i po wsiach. Było pływać dość daleko, ale w pośrodku było miejsce takie, gdzie koń zgruntował i mógł odpocząć, bo było takiego miejsca z pół staja. Sam tedy wojewoda, przeżegnawszy się, wprzód w wodę; pułki za nim, których jeno trzy było, nie całe wojsko, każdy za kołnierz zatknawszy pistolety a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przypłynął na środek, stanął i kazał każdej chorągwi odpocząć, a potem dalej. Konie już były do pływania próbowane; który źle pływał, to go między dwóch debrych mieszano, nie dając mu tonąć; dzień na szczęście był cichy, ciepły i bez mrozu; już była trochę odwilż poczęła następować, ale zaś potem zima tęga njęła. Żadna tedy chorągiew nie była jeszcze u lądu kiedy Szwedzi przypadli i strzelać poczęli; chorągiew



też każda, która wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi widząc, że choć dopiero z wody, a przecie strzelba nie zamokła, ale strzela i zabija, w nogi; owych też, co przybywali na pomoc, przetrzęśli nasi końmi, a dopiero w nich jako w dym. Powiadali zaś więźniowie: „Rozumieliśmy na was, żeście djabli, nie ludzie“. Po owej robocie, jak się wojsko dorwało do ciepłej izby, kto kogo mógł złapać, chłopą lub też kobietę, to zaraz odarł z koszuli, żeby się przewlec. Przetrzęsnąwszy tedy ową wyspę, bo to nie wielka, jeno jej siedm mil, miast kilka a wsi kilkadziesiąt, osadził tam wojewoda na kommandzie grzecznego kapitana, szlachcica duńskiego, z ludźmi nowo-zaciężnymi“.

Po dokonaniu tego dzieła, ponieważ już zima zapadła, rozkwaterowało się wojsko po całej okolicy. Miasta i wsi, wolne od tego ciężaru, musiały składać wyznaczoną im kwotę pieniędzy. Wysłano też raz i Paska, jako posła, po te pieniądze do miejscowości, gdzie nie znając języka niemieckiego, można się było tylko po łacinie rozmówić. Posłuchajmy, jakiego im Pasek figła wypłatał: „Przyjechawszy tam, uczyniłem, jakoby nie umiał po łacinie, pokazałem asygnacyę komisarską; pytają mię: „kann er dejcz?“ (czy umie po niemiecku), odpowiem: „nix“ (nie). Przyprawdzili jednego, co umiał po włosku; ten pyta mię: „Italiano parla?“ (czy mówisz po włosku). Ja: „nix“ (nie). Ledwo nie poszaleli pludraacy od frasunku, że się zmówić nie mogli. Cokolwiek do mnie mówią, to ja tylko odpowiadam: „Geld“ (pieniędzy). Pytają: „co sobie każesz dać jeść?“ to ja po staremu: „Geld“. Pytają: „co będziesz pił?“ „Geld“ (pieniędzy). Nareszcie proszą, żeby na nich nie nagle następować o pieniądze; ja mówiłem: „Geld“



(pieniędzy). Gdy zaś najczęściej po łacinie do mnie mówili, że to Polakom język zwyczajny, przyprowadzili mi zatem szlacheica, który tam blisko nich mieszkał, bo majątność jego i zamek widać ztąd było, aby się mógł jakkolwiek ze mną porozumieć; mówi tedy do mnie: „Ego saluto Dominationem Vestram“ (ja pozdrawiam Wielmożnego Pana), ja odpowiadam: „Geld“ (pieniędzy). Mówi: „Parla lingua francesca?“ (czy mówisz po francusku). „Geld“ (pieniędzy). Mówi: „Parla italiano“ (czy mówisz po włosku). „Geld“ (pieniędzy). Rzekł więc do nich: „żadnego języka nie rozumie“; a posiedziawszy trochę, pojechał. Oni w srogim myśleniu; a było to tego przez cały dzień. Już mieli do brandenburskiego wojska posłać, dla najęcia kogo do rozmowy ze mną i już się jeden gotował jechać. Tymczasem nazajutrz zrana przynieśli mi w podarunku łososa żywego, wielkiego w wannie, wołu karmnego i jelenia także żywego, chowanego, na powrozie przyprowadzili, a przytem w kubku sto bitych talarów, (ponieważ widzieli, że żadnym językiem nie mogli mię zażyć), mówiąc językiem krajowym: „przynieśliśmy podarunek“. Dopierom ja do nich przemówił, skazując na ów kubek z talarami. „Oto jest“, rzekłem po łacinie, „moich życzeń tłumacz“. Kiedy to Niemcy skoczą od radości, kiedy się poczną rzechotać, obłapiać mię; kiedy to skoczą na miasto, powiadając, że przemówił nasz pan, nuż gonić owego, co już był wyjechał po tłumacza; dopieroż się rozmawiać, dopieroż dyszkurować; popili się Niemczyska na ów śmiech. Nazajutrz dopiero w układy“.

W czasie spokojniejszym, wolnym od bitw, zwiedzał Pasek kraj w różnych kierunkach, poznawał mie-

szkańców, ich zwyczaje i obyczaje, a potem to wszystko pilnie zapisywał w swych Pamiętnikach. Bardzo zabawne jest n. p. miejsce, gdzie Pasek opisuje figle i psoty, jakie Polacy płatali tamtejszym lutrom po ich kościołach.

„Niemcy — opowiada Pasek — podczas nabożeństwa oczy zasłaniają kapeluszami, a białogłowy swemi zasłonami, i schyliwszy się kładą głowy pod ławki. Wtenczas im to nasi chłopcy najbardziej książki, chustki i t. d. kradli. Postrzegł to raz ksiądz luterski i okrutnie się śmiał, tak że kazania przed śmiechem nie mógł skończyć. I my także, cośmy na to patrzali, musieliśmy się śmiać. Dziwili się Luterani, że się śmiejemy, i kaznodzieja się z nami śmieje. Przytoczył potem kaznodzieja przykład o owym żołnierzu, który prosił pustelnika, żeby się za niego modlił; klęknął pustelnik na modlitwę, a on mu tymczasem porwał baranka, co za nim tłumoczek nosił, i uciekł. Przy dokończeniu tego przykładu zawołał: „O pobożność nad pobożności! Jeden się modli, drugi kradzie!“ Od tego czasu, kiedy już miały pokryć głowy, to pochowały wprzód książki i chustki, a po staremu nie było i to bez śmiechu, spojrzawszy jedna na drugą. Kiedym z niemi rozprawiał, na jaką pamiątkę głowy kryją i oczy zasłaniają, ponieważ tego nie czynił Pan Chrystus, ani apostołowie, żadna nie umiała odpowiedzieć; jeden tylko z mężczyzn tak powiedział: że na tę pamiątkę, iż żydzi zasłaniali Panu Chrystusowi twarz i kazali mu prorokować. Ja im na to odpowiedziałem: chcecie w tem należycie wyrazić pamiątkę Męki Pańskiej, to was przy tem zasłonieniu

trzeba w kark pięścią bić, bo tam tak czyniono; aleć na to zgody nie było“.

Jest jeszcze wiele podobnych uciesznych opisów, ale nie podobna wszystkich przytaczać, chyba trzebaby było całą książkę przedrukować.

Tymczasem zbliżał się czas powrotu do Ojczyzny. Szwedzi, znękani tylu klęskami, stali się skłonniymi do zgody i ustępstw. Zawarto wreszcie pokój w Oliwie, miasteczku, leżącym pod Gdańskiem, niedaleko ujścia Wisły do morza. Pokój ten nie zapewnił jednak tak upragnionego spokoju skolataney Ojczyźnie. Wybuchła wojna z Moskwą, która wysłała potężne wojska przeciw Polsce w nadziei, że osłabiony i wyniszczony kraj nie stawi wielkiego oporu. Wobec tak groźnego niebezpieczeństwa, odwołał król Czarnieckiego z Danii, aby przybył na pomoc ze swem dzielnem wojskiem. Rozpoczęła się nowa wojna, w której jednak szczęścił Pan Bóg broni polskiej, bo Moskale ponosili klęskę za klęską. Szczególniej pod Lachowicami nalali Polacy Moskalom tego sadła za skórę. W wigilię świętych Piotra i Pawła zaszła pierwsza potyczka przednich oddziałów obu wojsk. Oto jak Pasek tę walkę opisuje:

„Potężnie tedy uderzą na nas, chcąc nas pierwszym swoim zamachem złamać, aleśmy jednak wytrzymali, lubo kilkunastu z koni spadło. Gdy widzą, że i tu opierają się mocno, już w drugim starciu nie tak rzeźwo pokazali się, a wtem wychodzi z chojniaków chorągiew Tuszyńskiego i Antonowicza tatarska 200 koni każda, a wyszedłszy zaraz rysią idą. Moskale poczęli się mieszać. My też natarli. Nuż w nich; złamaliśmy ich zaraz; a dopiero wzięwszy na szablę, już rzadko kto i strzelił, jeno tak cięto; ostatek ich poszedł w rozsypkę.

Dopieroż gonić; dojeżdżano i bito. Wtem zaszło słońce, wojsko też nadeszło i tu na owem stanęło pobojowisku. Tak tedy przez całą noc trzymaliśmy konie w ręku, dwa pułki w placowej straży postawiwszy. Litwini tuż przy nas stanęli, których było 9.000 z wielkim hetmanem Sapięgą. Było tedy na 40.000 Moskali naszego wojska i z Litwinami tylko 15.000. Bardzo to mała kupka, ale przecie nadzieja nas cieszyła, bo co trup padł, to zawsze za nimi głową, co wojennicy sądzą za znak zwycięstwa, kiedy trup głowami za nieprzyjacielem pada. Tak tedy owej nocy jeść było co, bośmy kazali nabrać sucharów w sakwy, w wozy; gorzalina też była w blaszanych ładownicach, jakich natenczas zażywano. Zakropiwszy się tedy po raz, po dwa, zawróciła się potrosze i głowa, aż się też i spać zachciało. Jaki taki położywszy się na trawie, spi. Służył z nami Kaczewski, Radomianin, wielki przechora; ten mówi do mnie: „Panie Janie! na co mamy pięść pod głowę kłaść, układźmy się miasto poduszki na tym Moskalu“. (Leżał bowiem blisko tłusty Moskał zastrzelony). Ja odpowiadam: „Dobrze, dla kompanii“. On więc z jednej strony, ja z drugiej położyliśmy głowy, konie do rąk za eugle okręciwszy, i takeśmy zasnęli, śpiąc może ze trzy godziny. Gdy już było nadedniem, tak w nim coś gruchnęło, żeśmy się obydwaj porwali; podobno się to tam jeszcze coś było zataiło ducha. Skoro się trochę rozwi-dniło, zaraz kazano trąbić wsiadanego. Ruszyło się wojsko, żebyśmy, Pana Boga wzięwszy na pomoc, weześnie zaczęli tę igraszkę. Idąc tedy, każdy odprawował swoje nabożeństwo; śpiewano godzinki; kapelani, na koniach jadąc, słuchali spowiedzi; każdy się dysponował, żeby był jak najgotowszy na śmierć. Przyszędłszy

tedy o pół mili od Połongi, stanęło wojsko do szyku bojowego; Czarniecki uszykował swoje lewe, a Sapięha swoje prawe skrzydło, a Połubiński armaty i piechotę. Szliśmy tedy szykiem i dopiero w obliczu nieprzyjaciela stanawszy, chcieli nasi wodzowie, żeby nieprzyjaciel wyszedł do nas za przeprawę, ale nie mogąc go wywabić, kazali podstąpić dalej. Wyszło nareszcie ku nam za przeprawę ze sześć tysięcy piechoty, aleć jak poszły na nich nasze trzy pułki, zaraz ich wystrzelali i z tej strony wyparowali za rzekę. Poczęli z tamtej strony bić z armat i razić naszych; towarzysza jednego, podle mnie stojącego, jak uderzyła kula w łeb jego konia, to aż ogonem wyleciała, a towarzysz poleciał do góry od kulbaki wyżej niżli na trzy łokcie i nie mu nie było. Gdzie szło lewe skrzydło i korpus, tam mieli ciężką przeprawę; gdzie zaś nasze prawe skrzydło, tośmy mieli błota jak przez siedmioro stajen i miejscami koń zapadał po tebinki, miejscami też uszedł po wierzchu, tylko że się tak owe chwasty zrosłe zaginały jak pierzyna. Prawie połowa była takich, którzy piechotę za sobą konie prowadzili. My się tu z owego błota dobywamy, a tu już bitwa potężna na lewym skrzydle. Był tedy wprost przeciw naszej przeprawie folwark oparkaniony; Moskale spodziewając się, że tam nasi będą próbowali szczęścia, zasadzili tam kilkaset piechoty i 4 działka. Nie pokazywali się nam wtenczas, aż dopiero kiedyśmy się wybijali z tego błota na twardy ład, wysunęła się piechota i nuż pocznie do nas ognia dawać, nuż poczną i z dział parzyć; jak grad lecą kule; padło natenczas naszych dużo, a drudzy zostali postrzelani. Poszliśmy zatem na nich hurmem, bośmy widzieli, że przyjdzie nam poginać, gdybyśmy im mieli tyl po-

dać, i jużemy tak na oślep w ogień leźli, żeśmy się z nimi zmieszali, jak ziarno z sieczką, bo już trudno było inaczej. Okrutna wtedy powstała rzeźba w owej gęstwinie, kwandrans jednak nie wyszedł od owego mieszania, a wycięliśmy ich tak, że i jeden nie uszedł, bo w szczerem polu, powiadano, miało ich być 100. Z naszych też kto legł, ten leżał, a kto co otrzymał, ten musiał cierpieć; podemną konia gniadego postrzelono w pierś, cięto w łeb i drugi raz w kolano. Przesiadłem się więc wtenczas na mego myszkę, kazawszy pachołkowi, co na nim siedział, wędrować nazad za przeprawę po konia, aleć mię niezadługo dogonił na lepszem koniu, niżeli ja siedział, to jest na zdobytym. Docinamy ową piechotę, a Trubecki leci wysłany owym na pomoc z dziesięcią chorągwiami Bojarów i z trzema tysiącami konnicy. Stanęliśmy tedy tyłem do owych, a frontem do nieprzyjaciela. Wpadają na nas tak, jakoby chcieli zjeść; wytrzymaliśmy jednak, bośmy i musieli. Kiedy zaś widzimy, że nas pchają w owe błota, zewrzemy się z nimi potężnie; rajtarya sypała do nas gęsty ogień, z nas zaś rzadko kto strzelił, bośmy już powystrzelali na ową piechotę, a nabić znowu było niepodobna, bo czas nie pozwolił. Tak tedy szabłami ten tego, ten też owego w Bożą godzinę, bo i owym jużemy tak przygrywali mocno, że i strzelby nabijać nie mogli. A po staremu już nam rzeczy nie szły tak twardo, choć to nas z gotowym ogniem przypadli. Przemagaliśmy się tedy właśnie jak owo, kiedy dwaj w zapasy chodzą, ten tego, ten też owego nachylając. Pada trupów gęsto, i nawet chorągwi ich leżało na ziemi ze sześć. Towarzysz starosty dobrzyńskiego jak ciał w głowę Trubeckiego, to aż mu kołpak spadł;

zaraz go dwaj porwali pod ręce i poprowadzili. Dopiero dowódcy w nogi do szyków; my za nimi; wpędziliśmy ich, siekąc, aż między samo ich wojsko. Padła ich wtedy z połowa na placu. A tu jako w garcu już się sam korpus potyka. Litwini na lewem skrzydle także nie prożnują, ale przecie nie tak na nich, jak na nas najlepsze siły obracają, bo ich już lekceważyli. Obrócili się tedy niektóre pulki świeże i na odwrót poszły. Zobaczywszy wojewoda nasze chorągwie już w tyle szyków nieprzyjacielskich, posłał do Sapiehy, aby dla Boga wszystkimi siłami natrzeć i rozrywać Moskali, bo pułk królewski zgubimy. A wtem też już Moskale mieszają się, kręcą, wiercą, właśnie jak owo, kiedy komu źle za stołem siedzieć. Już było znać po nich trwożę. Ci też, których na nas obrócono, biją się już nie z ochotą. Poskoczą do nas, to znowu od nas, a wtem natrze na nich korpus potężnie. Huzarskie chorągwie skoczyły, my też tu z tyłu uderzymy na nich. Jużemy trochę mieli czasu i do nabicia strzelby, a wtem Moskale w nogi. Wszystko tedy wojsko na nas uciekało; bijże teraz, którego ci się spodoba; wybieraj, ten piękny, ten jeszcze piękniejszy. Obaczyłem dalej moją chorągiew, przybiegnę do niej, aż tu i sześciu ludzi nie ma przy niej; i drugie chorągwie także bez ludzi. Co żywo pozagaśniało się; sieką, rzną, gonią. Mówię do chorążego: „Nagrodził mi Pan Bóg mego gniadego; dał mi za niego innego gniadego, bardzo pięknego konia, alem go tam oddał obcemu człowiekowi; nie wiem, jeżeli mię dojdzie“. Pyta chorąży: „A to czyj płowy?“ Powiadam, że i ten mój. Przerzedziło się już znacznie lewe skrzydło moskiewskie i sam środek. A tu prawe skrzydło moskiewskie, które się z naszym lewem potykało, po-



czyna także uciekać. Znowu zrobiła się gęstwa taka, że tu jednego gonisz, a drugi tuż nad karkiem stoi z szablą; tego docinasz, a drugi jak zajac pod smycz leci; trzeba było mieć głowę jak na śrubach, i przed się i za się oglądać się. Ucieka chorąży, choży Moskal, chorągiew pod siebie włożywszy; zajadę go, złożę pistolet; ten woła: „pożałuj“, i oddaje mi chorągiew. Prowadzę go; modli się okrutnie, ręce składa. Myślę sobie: już też tego żywcem zaprowadzę, aż tu ze 400 Moskali, wielka kupka, już prawie na mnie wpadają; ów też chorąży począł się ociągać, lubom go rozbroił. Widząc, że i onego nie uprowadzę i sam zginę, uderzyłem go sztychem, a sam z ową chorągwią uskokczyłem się im z traktu. A tu na nich jadą Litwini, tu z boków przybiegają ci, co są w przodzie nas, i już na nich czekają. Ja też cisnąwszy ową chorągiew śliczną, złocistą, do nich się udałem, bo mi jeszcze żal było nie bić, kiedy było kogo. Tych docinamy, a druga chmura takąż, albo większa, następuje; tych biją, aż tu inni. Dosyć na tem, aż ręce ustawały, bo wszyscy owi, którym się udało uciec, nie mogli uciekać tylko podle naszych chorągwi, które im najpierwej w tyle stanęły. Było tedy tej rzeźby przez 3 mile. Wracamy się już nazad, a drudzy jeszcze gonią; żal mi, że nikogo żywcem nie mam, ale się końmi cieszę, osobliwie gniadym, który był bardzo piękny, ale nie wiem, jak mi się nada; wtem wysunie się kilkunastu Moskali z lasa, co się tam byli w niewielkim gajku zataili, a których to ruszono jako stado sarn. Ucieka jeden na ślicznym koniu, na którym rząd bogaty, złocisty, luzarską modą, suknie jedwabne, kolpak haftowany, bogaty; przebiegają go nasi co żywo i z tej i z owej strony;

ja go najbliżej będąc i rozumiejąc, że to sam Chowański, wołam: „stój, nie bój się, będziesz miał pożałowanie“. Już trochę począł wstrzymywać konie i spojrział na mnie z boku; nie zdałem mu się do tej konfideneyi (zaufania), żem to był w szarym kontuszu; nie ufał mi, rozumiejąc, że jestem jaki pacholek, chołota, których się oni najbardziej boją, mówiąc, że u takich ludzi żadnej nie znajdzie dyskrecyi (jak zaś i sam o tem powiedział). Ale obaczył on zdala towarzysza naszego, który był w czerwonej sukni, w karmazynowym, wytartym kontuszu i na takiej szkapie, żeby go był i do sądnego dnia nie dogonił; ale wnosił po ubiorze, że to ktoś znaczny, i wprost do niego jechał. Z tych co mu drogę zabiegali, strzelił jeden do niego, lecz chybił.

„Choraży zaś po staremu pędzi do owego towarzysza w czerwieni; ten ze strachu począł się kręcić na szkapie i dopiero ochłonął, gdy obaczył, że ów oddaje mi szablę i pistolety w heban i srebro oprawne, i woła: „pożałuj“; wziąłem go żywcem. Chowański sam, już w ucieczce dwa razy w głowę cięty, uszedł; piechota zaś wszystka, mało naruszona, oprócz owych kilkuset na raz wyciętych, została żywcem, a było ich 18 tysięcy ludzi, i poszła do bliskiej brzeziny, zasiecz uczynwszy. Otoczono ich dokoła armatami i piechotą, bo obrzednia była owa brzezina; dawano do nich ognia z dział, że na wylot kule przechodziły, i na tę i na ową stronę, a potem jak ich to osłabiono z armaty, dopiero ze wszystkich stron uderzono na nich i w pień wycięto. Trudno też krwi ludzkiej w kupie tyle widzieć, jak tam było, bo lud gęsto bardzo stał i tak też ginął, bo trup na trupa padł, a do tego owa brzezina na pagórku była, a krew lała się ztamtąd strumieniami, wła-

śnie tak, jak owo po walnym deszczu woda. Nabrano wtedy Moskali jak bydła. Hetman najwyższy, Chowański, dwa razy cięty, uciekł. Drugi hetman, Szczerba, zginął. (Bo to u nich kilku jest hetmanów w wojsku). Wojewodów, kniaziów, bojarów dumnych naginęło siła“.

Po tem chlubnem zwycięstwie dał Pan Bóg wkrótce drugie. Moskale bowiem po przegranej bitwie pod Lachowicami, nie stracili bynajmniej nadziei pokonania wojska polskiego i wysłali drugą, ogromną armię pod dowództwem Dołgorukiego. Ale nie poszczęściło się i teraz Moskałom. Nie możemy się oprzeć pokusie i nie przytoczyć znowu całego opisu tej walki, tak pięknie jest opowiedziana i tak żywo, że zdaje się nam niemal, że to wszystko dzieje się przed naszymi oczami.

„Pomiędzy oboma wojskami — powiada Pasek — był las szeroki, ale długi i rzadki, przez któryto las jeszcze się wojska nie widziały. Skoczyliśmy tedy ku owemu lasowi, oni też nas obaczywszy, wysłali swoich ochotników naprzód, a wojsko zaraz za ochotnikami następowało. Nasze wojsko stało jak wryte przy szan-cach. Poczęliśmy się więc ucierać. Ten tego, ten też owego pogoni. A działo się to po tamtej jeszcze stronie lasku, o pół ćwierci mili od naszych; wpadali już nawet i do lasku, gdy się kto za kim zagonił. Był też między ochotnikami chłopiec, który umiał z Moskałami swarzyć się i drażnić ich; jak oni wołali: „czaru, czaru!“ to chłopiec przypadłszy blisko nich, zawołał głosem: „wasz car taki a taki!“ to Moskali za nim kilkunastu albo kilkudziesiąt wybiegło; chłopiec zaś, na rączym bachmanie siedząc, dobrze uciekał, a wyprowadziwszy ich za sobą daleko od kupy, to my skoczywszy z boków, przerznięliśmy ich, siekąc i za-

bierając. Dość na tem, żeśmy posłali wojewodzie ze trzydziestu języków z harcówki za powodem owego chłopca. To znowu chłopiec do nich poruszał i powiedział im co innego o carze, a Moskale jakoby wściekli, (bo oni bardziej się urażają o krzywdę imienia carskiego, niżeli imienia Boskiego), suną się za nim zapamiętale. Tak było tego wiele razy na owego chłopca. I tak tedy zagnali się za owym chłopcem aż w las, chcąc go koniecznie dostać, boby go pewno ze skóry byli odarli za takie niecnoty, które im wyrządzał. My zaś zawsze po nich. Ja zagoniłem się za jednym i sam bez mała nie stałem się obławem; naprowadziłem konia nieostrożnie na krzaki, jak owo bywają wyrabane, a nowemi latoroślami obrosłe, że mi koń, chcąc owe krzaki przeskoczyć, zatoczył jakoś nogę za owe cugle wiszące, które zdrajca pacholek trochę przydłużej uwiązał. Począł tedy koń jakby chromać; ja rozumiałem, że go postrzelono; aż tu z boku drugi brodatyasz pędzi do mnie, ten też, com go nił, wrócił się nazad, widząc, co się ze mną dzieje. Przypada do mnie brodaty; ja ruszę cyngla prosto w piersi, i spadł z konia; a ten drugi młody za kark mię, znać, że mię to chciał żywcem prowadzić, (bo jeszcze żadnego języka nie wzięli, tylko zabili kilku naszych), albo też nie miał do mnie czem strzelić, ponieważ obadwa pistolety znalazły się nie nabite, a za tę rękę, co trzymał szablę, uchwyciłem go lewą ręką zaraz wtenczas, kiedy mię porwał za kark, i tak się właśnie wodzimy, jak kiedy owo dwa jastrzębie się zwiążą. Wtem ciał mię inny Moskal na pleśniawym bachmacie; ów na niego woła: „Fiedor, Fiedor, sudy!“ a Fiedorowi też chodziło o swoją skórę i zmykał dalej, bo go dwaj nasi towarzysze gonili. Obaczy-

wszy mię towarzysze z owym Moskalem, dali pokój tamtemu, którego gonili, i przybyli do mnie. Moskal woła: „puszczajut, pojdu!...“ lecz ja go też nie chciałem puścić, ale gdyby mię był przed minutą poczęstował, pewniebym go był puścił z ochotą, nie dając się wiele prosić. Wzięli go tedy towarzysze i rozerznęli mi cugle zastąpiane. Owego zaś brodacza, na ziemi leżącego, który jeszcze żyw był, dobił towarzysz sztychem i chciał do niego zleść z konia, obmacać mu kieszenie, ale nie przyszło do tego, bo już szyki nieprzyjacielskie w sam ów lasek wchodziły i ochotnicy sypali się jako mrówki. Wyciąwszy więc konia płazem pod owym zabranym Moskalem, chcieliśmy udać się do swoich, ale, po starciu, i tego trudno było uprowadzić; ciał go tedy Jakubowski w kark i spadł z konia, a my skoczyli do szyków; Moskale zaś wyszedłszy z lasku, stanęli jakomak kwitnący. Już wtedy obadwa wojska widzą się. Harcownikom kazano zniszczyć z pola. Wojewoda objeżdża pułki, napomina, prosi: „Mości panowie, pamiętajcie na Imię Boskie, dla którego zdrowie i krew naszą jako na ofiarę do tej niesiemy okazji“. Stały obadwa szyki ze dwie godziny spokojnie, ani ci nas, ani my ich nie zaczepiając. Znowu kazano harcownikom podpadać i wywabiać ich w pole. Wyszli tedy w pole dalej od lasku i tak blisko stanęli, że już z armaty donosiły kule i z tej i z owej strony.

Tymczasem wyprowadził książę carski ze dwanaście tysięcy, jak powiadali, wojska. Ja przesiadłem się na innego konia. Stoimy w szyku. Wtem widzimy, że książę carski prosto ku naszemu prawemu skrzydłu zmierzają. Przypadł wojewoda do nas i rzekł do Wojnielowicza: „Nu, stary żołnierzu, poczynajże nam szczęśliwie

w imię Pańskie!“ Podle naszej chorągwi jadąc, rzekł: „Proszę wytrzymać impet“. Idą tedy do nas powolu-sieńku. Skoro już kniaź carski od nas niedaleko, rzekł wojewoda: „Do roboty, Imię Boskie wzięwszy na po-moc“. Ruszają się tedy chorągwie powoli, a wodzowie zaś jadą przed nami z golemi po łokcie rękami. Gdy już wojsko od wojska nie było nad czworo stajan, sko-czą do nas, my też do nich. Przyparli zaś do nas tak, że jeden drugiego mógłby być za piersi uchwycić. Przy-wiódłszy nas wojewoda na same szyki, wysunął się na stronę, a my uderzyli na siebie. Było tego z dobry kwandrans, że ani temu, ani ten owemu piędzią nie ustąpił. Sapięha widząc, że na nas ciężko, bo nas mało, posłał z lewego skrzydła półtora tysiąca dobrych ludzi. Przyszli im z boku i srogim impetem tak w nich ude-rzyli, że się zaraz z sobą pomięszaly chorągwie. Dopie-roż bitwa tęga i trupa leci moc. Moskale nazad odwo-dem, a my tu przycieramy, i tem bardziej trup pada. Moskale w nogi, a potem piechoty dawały ognia z ar-mat okrutnie gęsto, z niewielką jednakże po staremu, z łaski Bożej, szkodą w ludziach naszych, z przyczyny, żeśmy się bardzo podsadzili pod armaty i przenosiły nas, ale po staremu legło i naszych kilkunastu; ci zaś wszyscy, co pod nimi konie popostrzelano, pouchodzili żywo. Pod Wojnielowiczem konia ubito i głuchych gwałt narobiono, bo owo bliskie pod armaty podsadzenie spra-wiło, że ów huk i srogi impet szkodził słuchowi. I mnie samemu więcej, niż trzy miesiące w głowie szumiało jak w browarze. Poszliśmy tedy nazad, wzięwszy cho-rągwi moskiewskich sześć i samych dobrze przerzedzi-wszy, a tym, co uszli, suto narozdawawszy specyaliów. Skonfundował bardzo Dolgoruki kniazia carskiego, (jak

o tem później rotmistrz rajtarski, do niewoli wzięty, powiadał), że się dał z pola spędzić. Na co mu książę natychmiast odpowiedział: „Niezadługo obaczę cię samego, jeżeli też tak wytrzymywać będziesz, jako mnie tego uczysz. Osy to tam, osy, nie ludzie“. Staliśmy tedy długo, z dział tylko bito z tamtej strony. Posłali znowu nasi wodzowie do Dołgorukiego z oświadczeniem, „żeśmy tu po to przyszli, aby się bić a nie próżnować, i że wieczór blisko“. Na to odpowiedział Dołgoruki tak: „że komu się śmierć odwlecze, niech tego nie ma za krzywdę; co was ma spotkać, to was nie minie, lubo wieczór niedaleko; mam ja takie wojsko, że was może uspokoić i za godzinę, i podzielić, komu co będzie należało, całego dnia na to nie potrzebując“. Po owej tak hardej odpowiedzi, zaraz pułki kazał wyprowadzić w pole, bo on obiecywał sobie jednym zamachem za wojować nas, ufając wielkości swego wojska. Posłano natychmiast rozkaz do Muraszki, żeby ochotników i luźną czeladź wyprowadził z za góry na oko nieprzyjacielowi. Przyszli więc wielkim pędem właśnie tak, jakoby dopiero świeżo na pomoc posiłki przychodziły, i zaraz rysią przy lewem skrzydle stawają, trochę opodal od wojska litewskiego. Muraszka uwija się, szykuje jakbyto nowotny hetman i nowotne wojsko, bo stało się tak ozdobne, że i nam samym serca przyrastało, patrząc na ową cholotę. Moskale rozumieli, że nowe przysły posiłki; ów zaś krzyk, który i oni w obozie naszym słyszeli, tłómaczyli sobie, że to musi być tryumf z powodu posiłków nowo przybywających. Już tedy Moskale wyprowadzili wszystko wojsko konne i piechoty połowę; nasz komunik także wyszedł, owe szançe w tyle zostawiwszy. Aż tu z armat biją i coraz to strzala okru-

tna padnie między nas, czasem w szeregi, czasem przed lub za szeregi, a że liście ma jako siekacz, dajemy się, co tam za łuki takie mają? czy olbrzymi strzela z wielkiego łuku, czy co; nie wiedzieliśmy bowiem, że to astrachańscy Tatarowie strzelają, którzy o ziemię oparłszy drugą łuk, drugi im aż na głowę stoperczy. Było tedy między wodzami postanowiono, że się najpierwej miał potykać Sapieha, gdy sam o to prosił, ale że Moskal swojej, nie naszej, w gadzając potrzebie, na nasze prawe skrzydło najpiękniejszy uczynili impet, nam tedy jakoś znowu potyka się przyszło. Przypadł tedy wojewoda i mówi: „Moskapanowie, do was to, widzę, coś sobie upodobał nieprzyjaciela, ale nie bójcie się, będzie was korpus cały wspierał“. Zaczęła się tedy krwawa bitwa. Tam lud srodzajny i prawie kilku ich po jednego sięga, ale cóż możemy przecie nie dajemy się rozrywać, opierając się potężnie. Spadają z koni postrzeleni, rannych za szeregi prowadzą. Piechota, między kominami pomieszana bardzo nam szkodziła, bo jak cokolwiek zeprzemy nieprzyjaciela, a na owych zdrajców napadniemy, to jak nam w gębę dał. Litwini biją się na lewym skrzydłonie równie lepiej, niżeli z Chowańskim.

„Odzyskali przecie serce, które przedtem już wcaim było upadło. Luźni też z ochotnikami tak odważnie wpadają na szyki, że ledwie Tatar tak natrze; zgołowe wszystkich sroga była ochota, bo też i nie mogłoby być inaczej, tak wielką potęgę przed oczyma mają. Biło się też wojsko nasze tak, że po wszystkim czasie służby mojej, i przed tą i po tej okazyi, nigdy nie wdziałem bijących się tak mężnie Polaków. I mówiono nawet, iż gdyby Polacy tak się bili szczerze, byli



zaiste świat cały w ich mocy. Moskale ufali w wielkość swego wojska, nasi zaś w Pana Boga i swoją dzielność, bo jeden na drugiego zapatrując się, tak stawał, przy takim współubieganiu się litewskiego wojska z naszym, że też już lepiej widzieć niepodobna; jakoż i to przyznać każdy musi, że moskiewskie wojska, a osobliwie owe bojarskie chorągwie, w szyku stojące, są tak straszne, jako naród żaden nie jest. Spojrzawszy na owe ich brody, to się taka jakoś przedstawiała powaga, jakby się na panów ojców porywał. Pojechawszy wojewoda do hussaryi i jako kto ma skoczyć rozporządziwszy, posłał też i do Sapiehy, żeby i on szczerze postąpił, bo też już słońce zachodziło. Przyjechał i do nas. „Teraz“, rzekł, „mości panowie! komu Bóg i cnota miła, za mną!“ Jak też skoczymy, zrobił się srogi krzyk i rzeź, bośmy ich złamać nie mogli; onym też nie daliśmy się, opierając się potężnie, a to z tej przyczyny, że było chwalebniej poledz w bitwie, niżeli w ucieczce. Oczywista to rzecz była, że nas tam ręka Boska piastowała, kiedy przeciwko tak wielkiej potędze dał Bóg i wygrać, mało w ludziach naszych mając szkody. Nie zapomnę tego nigdy, dziesiątemu to powiem, i mam to sobie za wielki dziw, kiedy do czterech naszych chorągwi, które zagnały się za Moskalami i naprowadzone zostały na ogień, prawie w bok włożywszy, 3.000 strzelców razem ognia dali, a po staremu jeden tylko towarzysz zabity został i czeladzi czterech, a podemną konia postrzelono; sprawdziła się zatem przepowiedź, że „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi“, bo na taki ogień należałoby było połowie z koni spaść. Uderzyły potem hussarye kopijami jako w ścianę; jedni kruszyli kopije, drudzy nie; który był taki, że skruszył kopiję, to brał

się do pałacza, bo taki zaś był rozkaz, że, Panie zachowaj, aby miano kopiją cisnąć, któraby się jeszcze nie była umoczyła we krwi nieprzyjacielskiej, ale należało ją znowu podnieść.

Tak więc czynily jeden szwadron hussarskiej chorągwi Czarnieckiego i pancerna chorągiew, za nią nie pamiętam czyja, bo co słabsze chorągwie, to za szwadrony hussarskie wysyłano. Trafiły też na jakąś słabą ścianę, co się o brzuchy bali, bo rozstępowali się im tak, że przeszły chorągwie przez wszystkie szyki nieprzyjacielskie jakoby świdrem wierciał, nie prawie nie skruszywszy kopij, i zaszły wprost na to miejsce, gdzie była brama, a któremto miejscem wyprowadzano szyki w pole. Jednego tylko towarzysza stracili przebijając się, i jednego także konia, przebrawszy się przeciwko owej bramie. Obrócili się nazad z chorągwią i stanęli frontem w tył nieprzyjacielowi. Dopowiedziano wojewodzie, że już proporce jego widać w tyle szyków nieprzyjacielskich. Bał się, żeby ich tam nie pognieciono. Moskali też to nie mało hańbiło. Wojewoda kazał ostatniemi natrzeć silami, sam zaś przed nami natarczywie skoczywszy, siekł, strzelał, narażał się, nie jak hetman, ale jak prosty żołnierz. Terazto dopiero tnij i rznij. Co tedy która chorągiew moskiewska zapędzi się do owej bramy, to hussarya owa, co się przebiła przez szyki, złoży do nich kopije, to oni na stronę. Nacisnęła się ich moc pod owę bramę, chcąc żeby ich odstrzeliwano, oni bowiem odstrzeliwać nie mogli, bo się sami bardziej razili, i z armat także już nie strzelano, bo nadaremnie było między pomieszane wojska. W tem zamieszaniu natarliśmy na nich, strzelając i rąbiąc tak, że trupa na trupie leżała ogromna kupa. Wojewodów, kniaziów, bo-

jarów dumnych, urzędników carskich, siła bardzo nagięło, ponieważ żywcem nie brano, bo nie było czasu bawić się tak wielką potęgą nieprzyjacielską. Wziąć bowiem żywcem nieprzyjaciela, znaczy: nie już więcej nie robić, a tymczasem, kiedy Pan Bóg poszczęści, może kilku na to miejsce zabić, co się z owym jednym zabawi. Mnie samemu trafiło się jakiegoś znacznego Moskala ciąć, i potem dopiero pomiarkowałem, że był strojny jak do ślubu, a nie przyszło mi nawet i kołpaka mu wziąć, na którym było perł ze trzy garście i zapona dyamentowa, bo to niepodobna inaczej w gęstym boju, ty za tym jedziesz, a na ciebie bije ich dziesięciu. Piechota nasza największe miała zdobycze, bo zaraz za nami następowała, i odzierała. Pieniędzy znajdowali siła, bo to było pospolite ruszenie. Bojarowie znaczni poginęli, i piechota wszystka, która była w pole wyprowadzona: byłaby i tamta druga zginęła, gdyby noc nie była zaszła i temu przeszkodziła, a oni tymczasem poszli w las, nocą jedynie zawdzięczając swe ocalenie. Chorągwi nabrano kilka wozów, armat szumnych wzięto siła i więźniów po troszę; zabrano ich piechoty kilkaset do Sapiehy i do Czarnieckiego, ale nie było znacznych, tylko trzech pułkowników, rotmistrzów kilku, bojarów, Niemców i Anglików kilkunastu. Dolgorukiego i tych ludzi, co uszli, noc ochroniła, bo gdyby było więcej dnia stawało, wszyscyby byli polegli“.

Nie lepiej powiodło się reszcie wojska moskiewskiego pod dowództwem Szeremeta, bo — jak powiada Pasek — „ani zwiasticiel klęski nie pozostał, bo jedni na placu padli, drugich Tatarowie, którzy byli z naszej strony (to znaczy pomagali Polakom), zabrali i samego Szeremeta wzięli“.

Mimo tych ciężkich ciągów, jakie Moskale kilkakrotnie dostali, zerwali się jeszcze raz do nowej walki. Dolgoruki, którego niedawno Czarniecki zupełnie rozbił, z nowem wojskiem, posilkowanym przez Kozaków, stanął do boju. Udało się nawet Moskalom niespodzianie napaść na część wojska polskiego, które po dłuższym uporze zaczęło ulegać przemocy daleko liczniejszych Moskali, gdy wtem niespodzianie Czarniecki przybywa na pomoc zagrożonym i już zwyciężkich Moskali w puch rozbija. Skoro tedy Czarniecki się zjawił — powiada Pasek — „wnet zmieniło się Moskalom szczęście, w jednej bowiem godzinie podchlebilo im, a potem ich na sztych wydało. Jak więc usłyszeli od pacholka, że to nie podjazd, ale wojsko, widzą, że źle koło nich; a że im nasi faldów mocno przyciskają i coraz z lasa wymknie się chorągiew, właśnie jak kiedy owo wyrwanego tańczą, poczęła starszyczna uciekać, a wojsko też poszło w rozsypkę. Lecz tego uciekania nie było długo, bo konie mieli zmordowane bijąc się z Litwinami i przebiegając im z innego traktu wielkie trzy mile, ponieważ ich już byli minęli, a do tego, że i konie mieli srodze tłuste i rozpierały się im. Jakaśmy tedy wsiedli na nich, tośmy ich ciągli przez cztery wielkie mile, a kto w pierwszej mili nie zginął, to w drugiej lub trzeciej, bo dojechawszy go, to koń pod nim stoi jako krowa, albo też już z niego zsiadłszy, to Moskal kłęczy, ręce złożywszy; to go po szyi, mówiąc: a dalej za drugimi. Kto więc w tych czterech milach nie zginął, to już dalej trupa nie było, a jednak ich bardzo mało przybieżalo do obozu, co powiadali chłopci i inni niewolnicy, którycheśmy w obozie zastali, a którzy to zdrajcy wielkimi zrobili się panami, bo zaraz, jak postrzegli, co się

dzieje, przetrzęśli szalasy. Przyszliśmy więc do obozu moskiewskiego pod Tołeczyn, mil siedm od tego miejsca, gdzie była bitwa, w którym zastaliśmy wszystko do życia i wozy wszelkie, nawet koni podostatkiem, bo owi, co uciekli, nie zdołali swego porwać, gdyż zaraześmy na karku ich jechali, a ci, co byli w obozie zostali, jakoto wozowi ludzie, ledwie co który konia dopadł i uciekał, a rzeczy tych, co zginęli, nikt też nie brał“.

To była prawie ostatnia wojna, w której Pasek czynny brał udział. Po skończonej wojnie wrócił do domu, do rodziców, jeździł po całym kraju w odwiedziny do krewnych, znajomych, których miał bez liku, na wesela, pogrzeby i tym podobne zebrania, a wszędzie mile widziany i serdecznie ugaszczany. Tymczasem dola naszej Ojczyzny się nie polepszała. Te ciągle wojny, nieszczęścia, klęski, różnego rodzaju zawody znużyły tak króla Jana Kazimierza, że dobrowolnie zrzekł się korony i z kraju wyjechał.

Po nim nastąpił Michał Wiśniowiecki, syn sławnego Jeremiego Wiśniowieckiego, który pokonał Kozaków. Za jego panowania rozpoczęły się na nowo wojny z Turcją i Tatarami, których nękał i gromił raz po raz dzielny Sobieski. On też po krótkim panowaniu króla Michała osiadł na tronie polskim. Dzielny to był wojownik i rycerz prawdziwie chrześcijański. Od młodzieńczych lat ustawicznie wojował z Turkami i Tatarami, którzy za każdym napadem łupili kraj niemiłosiernie i zabierali w niewolę tysiące ludzi bez różnicy płci i wieku. Po każdym takim napadzie kraj na kilkadziesiąt nieraz mil wokół, był jak jedno spalenisko; nigdzie nie ujrzał żywej istoty, bo jedni zginęli od miecza wrogów, tyśiące zabrano w ciężką i gorszą od śmierci niewolę,

reszta kryła się w niedostępne lasy lub góry i wylaziła ztamtąd dopiero po dłuższym czasie, gdy już kraj był wolny od tych srogich gości. Ludne, bogate miasta i wsi w gruzach i peźynie, zrabowane kościoły i zbezczeszczone najświętsze tajemnice Wiary św., oto następstwa każdorazowego napadu. Straszny to był wróg, zawzięty niesłychanie na naszą Wiarę św., i ta nienawiść pchała go głównie do ustawicznych wojen i napadów. Z tym tedy wrogiem ucierał się ustawicznie Sobieski; młodość swą strawił w obozie, a potem jako hetman czyli naczelny wódz wojsk polskich, i jako król gromił strasznie tego wroga, nietylko we własnym kraju, ale spieszył chętnie z pomocą innym zagrożonym przez Turków chrześcijańskim państwom.

Pomijając wiele pomniejszych utarczek, zwróćmy uwagę na sławną po wszystkie wieki odsiecz Wiednia. Wielokrotnie usiłowali Turcy zdobyć tę stolicę Austrii i zatknąć na miejscu Krzyża św. swoje pogańskie znaki, ale zawsze jakoś obroniło się zagrożone miasto. Lecz oblężenie w r. 1683 było ze wszystkich najstraszniejsze i groziło miastu niechybnym upadkiem. Nieprzejrzane tłumy wojsk tureckich, pchane przez cesarza Mahometa IV, okryły pola Wiednia. Straszne i ustawiczne szturmowanie osłabiły już mury miasta i odebrały wszelką odwagę oblężonym. Głód sroższy od Turków dręczył i szarpał wnętrzości mieszkańców i słabił do reszty już i tak zwątlone i wyczerpane siły obrońców. Rozpacz ogarnia wszystkich, upadek zdaje się niuniknionym. I zapewne tak by się stało! lecz dzielny Sobieski, błagany o pomoc przez posłów Leopolda, ówczesnego cesarza Austrii, i Papieża, by ratował zagrożoną stolicę chrześcijańskiego państwa, spieszy z odsieczą.

Nieliczni liczbą, lecz straszni odwagą i męstwem, wyćwiczeni w walce z tym wrogiem, Polacy rozbijając w puch krociowe zastępy tureckie, które poszły w haniebną rozsypkę, a cały obóz przepelniony bogactwami, dostał się w ręce zwyciężkich Polaków. Nie poprzestaje na tem dzielny Sobieski, lecz pospiesza za niedobitkami na Węgry i tam je do szczętu po raz wtóry rozgramia. Po tej klęsce nie mogła już Turcyja wznieść się do dawnej potęgi, przestała raz na zawsze być postrachem dla całej Europy.

W tych wojnach tureckich już Pasek nie brał czynnego udziału, bo, jak już naszym Czytelnikom wiadomo, po śmierci Czarnieckiego, który wkrótce po wojnie z Moskwą umarł, Pasek opuścił służbę wojskową i osiadł w domu. Opisał jednak te bitwy na podstawie opowiadań tych, którzy w nich byli.

Jak wiadomo, pobił Sobieski Turków pod *Chocimem*. Tam obwarowali się Turcy i stali obozem. „Nasi panowie hetmani — opowiada Pasek — mieli wojska porządne, chcieli Turkom dać pole, ale oni wynieść nie chcieli. Nasi tedy postanowili do nich szturmować; poszli tedy pod okopy, obścąpili obóz wokół; piechoty podsadziwszy, rozwalili wały w kilku miejscach bez żadnego oporu, bo i razu z armaty nie strzelono, choć mieli dział tak wiele. Pan Bóg podobno zaślepił był poganów i serce odjął, że tak skromnie przyjmowali naszych do siebie dobywających się właśnie kiedy owo gość jaki przychodzi, nie nieprzyjaciel. Stali tylko na koniach w okopach, aż do nich powchodziły chorągwie owemi dziurami w wałach poczynionemi; dopiero tam w okopach uderzyli na naszych, ale nie mogli długo wytrzymać, zaraz poczęli uciekać do mostu, który mieli

na Dniestrze, ku Kamieńcowi. Tam ich dopiero nasi cięli; że tłumem wielkim cisnęli się na most, ten zламаł się; dopieroż tonąc, — jednych wycięto, drudzy potonęli, inszych nagnano na skałę, z której pospadali na łeb z koźmi. Zdobyć nasi wielką wzięli w rzędach srebrnych, w namiotach bogatych, zaś owe specyaly wyborne, które na sto tysięcy można było rachować, one szable bogate, one strzelby. Naprowadzono do Polski wielbłądów siła, tak, że go dostał za podjezdka. Ale też to jeden syn osobliwie ucieszył ojca zdobyczą: był on rotmistrzem dymowskim, miał kilka wielbłądów zdobyczych. Przyjeżdżając przed dom, chciał się też ojcu pokazać na powitaniu w tureckim stroju. Ustroił się w ubiór wszystek, turecki zawój wdział na głowę, wsiadł na wielbłąda, kazawszy czeladzi zatrzymać się na wsi, i pojechał przodem do dworu. Ojciec staruszek idzie przez podwórze z laską do jakiegoś gospodarstwa, a owo straszdyło wjeżdża we wrota; co starzec obaczywszy, okrutnie uciekać począł, żegnając się. Syn widząc, że się ojciec przeląkł, bieży za nim, wołając: „stój dobrodzieju, ja to syn twój!“ a ojciec tem bardziej w nogi. Rozchorował się potem z przełknięcia i niedługo umarł. Dał Bóg narodowi naszemu cudowne zwycięstwo, a najbardziej z tej okazji cudowne, że się i bronić zapomnieli, nawet kiedy wprzód brano obozy wołoskie i multańskie, nie przyszli ich Turcy bronić, a potem i sami się nie bronili, chyba wtenczas dopiero, kiedy ich wyparto z obozu“.

W r. 1683 nastąpiła sławna wyprawa króla Sobieskiego pod Wiedeń, której przebieg już znamy; posłuchajmy więc tylko opowiadania Paska.



„Rąbano w każdym spotkaniu Niemców nieboraków, jako drwa. Wiednia tedy, jak mówię, już nie nie trzymało, tylko jedna nadzieja pomocy wojska polskiego, o którym przecie miewał wiadomość Staremburg przez skrytych szpiegów od cesarza posłanych. Już tedy niebożęta owe dziury powybijane i prochami powyrzucane, piersiami tylko swemi zasłaniali, a poddanie, już dawno postanowione, odwłóczyli od dnia do dnia. Wiedzieli i Turcy, że Polacy idą na pomoc, albo raczej na odsiecz, ale temu nie wierzyli, żeby sam król w swojej osobie, i żeby całe szło wojsko, ale sądzili, że pewna część wojska, dlatego powoli sobie poczynali, i nie zbyt przyspieszali wzięcie tej fortecy, mniej się obawiając tych posiłków i biorąc miarę: „jeżeli tak wielkie wojska niemieckie pierwszego zaraz impetu wytrzymać nam nie mogły i teraz w oczy zajrzeć nie śmieją, choć im o stolicę państwa ich chodzi, choć przy swoich śmieciach, pewnie i ta mała garść polskiego wojska nie zwojuje nas“. Już tam był u cesarza kawaler Lubomirski wraz z tymi Polakami, których za cesarskie pieniądze zaciągano: i dobrze tam stawali, lubo też tak było, że i motłoszku nazaciągano: lada pokojowy, to pan rotmistrz, pan porucznik: lada pacholec przyszedł piechotą na zaciąg, kupiono mu konia, to pan towarzysz. A po staremu Niemcy dawali im dobre słowa, ale się to działo dobrym wodzem. Kiedy tedy król wybierał się na tę wojnę, była ochota we wszystkich ludziach taka, że duszno im było i ptakiem jako najprędzej przelecieć. A znak to już był przyszłej fortuny. Nawet sam król z taką jechał fantazją, jak po pewne i nieomyłne zwycięstwo, bo zaraz i historyków, żeby jego i narodu polskiego dzieła pisali i głosili, zaciągnął z sobą, i Ko-

chowskiego (Wespazyana) nie inszą intencją zaprosił na tę wojnę, tylko żeby przypatrzyl się, i umiał godnie opisać zwycięstwo. Nawet w ten dzień, kiedy już miał z Krakowa wsiadać na koń, słyszałem z ust jego te słowa: „Boga proszę, żebym ich tam tylko zastał, a nie trudno będzie w Polsce o tureckie konie“. Tak mi to dziwno było, usłyszawszy potem o zwycięstwie, jak to on prorockim duchem mówił, co się wkrótce stało. Niektórzy natenczas szemrali przeciwko tym słowom, mówiąc: „Dla Boga! żeby go nie skarał Pan Bóg, jeżeli to z hardości mówi, bo to przecie z potężnym i zwyciężkim narodem sprawa“. Ale znać, że to mówił z ufności wielkiej w Bogu, kiedy się tak stało. Oczekiwał król na wojsko litewskie, długo, a tu leca od cesarza poseł za posłem, prosząc dla Boga, żeby pospieszyć, bo Wiedeń ginie. Już tedy Litwy nie mogąc się doczekać, poszedł król, śluby uroczyste Bogu uczyniwszy, królowę zaś w Krakowie osadziwszy. Jak król wszedł za granicę, prowianty dla wojska wielkie dawano i wygodę czyniono. Szedł jednak król z wojskiem z wielkim pośpiechem, obawiając się, żeby Wiedniowi nie była pomoc, jak umarłemu kadzidło, któremu też już natenczas Turcy, jak się dowiedzieli o następującem blisko polskiem wojsku, mocno poczęli dogrzewać, bo dowiedziawszy się cesarz turecki o połączeniu, i obawiając się przecie tej, która go nie minęła konfuzyi, posłał swemu wodzowi postronek, i upewnijając go: „że cię ten postronek nie minie na szyję, jeżeli w tych dniach Wiednia nie weźmiesz; bo tobie się zachciało tej wojny, tobie też za to odpowiadać należy, jeżeli niepomyślnie pójdzie“. Tu zdrajca Janczarów (nazwa wojska) przekupywał, poił, żeby odważnie sta-

wali, a niewolników przodem przed janczarami gnał do szturmów; sam jako wściekły latał, ten postronek włożywszy sobie na szyję, zachęcał, prosił przez wielkiego proroka Mahometa, aby pamiętali na sławę niezwyciężonego narodu swego, aby mieli wzgląd na jego zgubę, której nie minie przez ten powrót, który na szyi nosi, jeżeli Wiednia nie dostanie. To to pogaństwo oślepiło w ogień lazło, a jako snopy padało. Kiedy już król z wojskiem szedł od Wiednia, wtenczas oni najpotężniejsze szturmowanie czynili. Nawet choć już stanęło nasze wojsko, już się pułki nasze i regimenty niemieckie pokazały, przecie on janczarom szturmowi poprzestać nie kazał, a konne wojsko Tatarów i Węgrów Tekelego na nas obrócił. Uderzyli Tatarowie raz i drugi na naszych, potem stanęli sobie osobno. Posyła wezyr (wódz Turków) po hana (wódz Tatarów) i pyta go: „Cóż ty rozumiesz, jestże tu król polski?“ Han powiedział: „I rozumiem i widzę, że jest; bo kiedy są ci drażnicy (husarzy), to i król musi być“. Rzecze wezyr: „Radź o mnie!“ Han odpowiedział: „Radź ty sam o sobie, a ja też o sobie; wszak ja tobie dawno radziłem, żebyś odstąpił od Wiednia, nie czekając Polaków“. Skoczywszy od wezyra do swoich, zawołał: „Allah, allah!“ Zaraz jakby piłką rzucił, poszli Tatarowie, Turcy też poczęli słabieć, a potem w nogi. Dopieroż ich przerzynać, sieć, gonić; z miasta też oblężęncy, widząc, że już uciekają, wypadli na owych, co u szturmie byli, nuż ich kosić. Ległóż to tedy tego pogaństwa mostem, a żywcem to guano ich stadami do Wiednia, żeby naprawiali za pokutę te dziury, co je w murach i wałach porobili. Armaty zostały wszystkie, obóz także został ze wszystkimi bogactwami. Złota, koni, wielbłądów, bawołów,

bydła, owiec stadami koło obozu pełno. Onych namiotów ślicznych, bogatych, nawet pieniędzy nie dostarczyli pobrać, bo tych po wszystkich namiotach zastawali dosyć; wezyrskie namioty tak wielkie jako jest cała Warszawa w swoim obwodzie; króla naszego odbieżono ze wszystkimi dostatkami, nawet worki talarów wielkimi na ziemi leżały stosami; dywanami złotemi, srebrnemi ziemia usłana; łóżko z pościelą kilkadziesiąt tysięcy talarów szacowano. Pokoiki w tych namiotach tak skryte, że ledwie trzeciego dnia znaleziono utajoną jakąś wezyrską kochankę, a drugą strojną bardzo, świętą przed namiotem leżącą, zastano; powiadano, że ją sam ściał wezyr, żeby się w ręce nieprzyjacielskie nie dostała. Stały drugie namioty i tydzień i dwie niedziele, bo tego i przebrać nie można. Nasi też Polacy, co tego byli nabrali, to zuowu, jak kazano iść do Węgier, powyrzucali z wozów, albo lada gdzie na przeprawie, gdy konie uwięzły w błocie, to podesłał pod konie ów namiot, który był wart tysiąc i więcej, żeby prędzej wóz wyciągnęły.

Stało to zwycięstwo szczęśliwie dnia 12 września i rozweseliło całe chrześcijaństwo, rozweseliło cesarza zdesperowanego, Bogu się tylko w opiekę oddającego, rozweseliło całą Rzeszę niemiecką, a osobliwie mieszkańców miasta Wiednia, których grzbiet najbliższy był tej dyscypliny. Narodowi naszemu wieczystą zjednała sławę, gdyż i teraz przyznają to narody. Słyszałem z ust jednego godnego pana francuskiego, który mówił, że Polacy są zbawcami Niemiec, bo to jest rzecz pewna, że jużby był Wiedeń trzech dni więcej nie wytrzymał, który gdyby był zginął, zginęłyby wszystkie posiadłości cesarza, a następnie i drugie chrześcijańskie

państwa. Królowi panu naszemu jest za co dziękować, że sam osobiście na tę nie chronił się wojnę, bo ta jego ochota wiele chrześcijaństwu uczyniła dobrego, a osobliwie jednak te pożytki przyniosła, że każdy z paniąt, z panów polskich, sam osobiście poszedł na wojnę, chcąc się przypodobać królowi, i uczyniło się owemi asystencyami wojsko nierównie większe i okazalsze; drugi pożytek, że większy strach ogarnął nieprzyjaciela i skonfudował, dowiedziawszy się, że sam król jest swoją osobą, wiedząc o nim, że pan jest wojenny i szczęśliwy, i nie zapomniawszy jeszcze łaźni, którą im roku 1673 sprawił pod Chocimem nad Dniestrem.

Wszyscy tedy katolickiej religii ludzie byli i są kontenci z tego króla pana naszego zwycięstwa oprócz luteranów i kalwinów, bo oni tę wojnę za swoją mieli i Pana Boga prosili, żeby Turcy zwyciężyli“.

„Po owem szczęśliwym zwycięstwie, skoro się zjechali monarchowie, aby się wzajemnie uścisnąć, cesarz chrześcijański Leopold z królem polskim Janem Trzecim, jakie tam były pociechy, jakie gratulacye, jako księżęta Rzeszy pojeżdżawszy się, to jest księżę lotaryński, księżę bawarski, księżę badeński i inisi, jako mile króla witali, jako wdzięcznie tę przysługę przyjmowali, będą o tem obszernie pisać historye. Jechał potem król oglądać Wiedeń i spustoszenia jego; tam go zaprosił Staremburg, i u niego jadł. Kiedy jechał przez miasto wielka była ciżba, jakiej podobno podczas bronienia szturmów nie było, bo każdy chciał widzieć króla polskiego; ludzie niebożęta z wielkiej radości plakali, ręce do nieba wznosili, błogosławieństwa i zapłaty od Boga wołali, króla Zbawicielem swoim nazy-

wali, aż uszy zatykał; od żołnierzy po gospodach zapłaty za wina i za insze rzeczy brać nie chcieli, tylko grubijanie brali.

Poszły potem wojska cesarskie polskie do Węgier szukać Turków i niektóre atakować fortece, a pominąwszy Komorę, fortecę cesarską, która jeszcze w pogańskich nie była rękach, lubo dalsze za nią pobrano fortece i nowe zamki pobudowali Turcy, a przyszedłszy ku Strygonii, zastały pod Parkany wojsko tureckie, o którem lubo nasi wiedzieli, ale rozumieli, że to tam tego coś niewiele, nieostrożnie postąpili sobie w przedniej straży. Jak wsiedli Turcy, aż nie przyszło i ognia dawać, dragonii regiment zupełny strażnika koronnego Bidzińskiego (Stefana) wycięto w pień, innej dragonii, co do poprzedniej straży przydawano, wycięto wiele; sam strażnik ledwie uciekł, aż zgubił ludzi więcej niż dwa tysiące; oficerów młodych, szlachty tak wiele krewnych swoich pogubił; a tak się to cicho i prędko stało, że wojsko nie daleko za pagórkami będące, nie wiedziało o tem. Przyjdzie tedy król z wojskiem nad owe trupy, zaraz serce naszym upadło; a wtem Turcy skoczą obces na naszych; poczęli się im trochę zrazu opierać, a potem jak wzięli tył chorągwi wojewody ruskiego, hetmana koronnego (Stanisława Jabłonowskiego), zaraz chorągiew husarska poczęła uciekać; druga za nią, trzecia za nią, wszystko wojsko w nogi, i król, i hetmani, i wszyscy, z wielką hańbą i pośmiewiskiem Niemców. Sromotnie uciekali milę wielką, aż się o cesarskie wojsko oparli. Wojewoda malborski, (Ernest) Denhoff, człowiek był ciężko tłusty, zginął; Siemienowski (Jędrzej) porucznik, zginął; kompanii naginęło, chorągwie, kopie, kotły precz porzucali. Pod

królem już był koń poczał rozpierać, aleć go z boków łechtano płazami, żeć przecie wyniósł pana. I tak wie-deńskieji wiktoryi niewypowiedzianą sławę, zmazali-byśmy byli wiecznie czwartkowej ucieczki hańbą, gdyby był Pan Bóg nie pogłaskał jej znowu, sobotnią jeszcze większem, niżeli pod Wiedniem zwycięztwem. Po-dobnośmy to byli podnieśli serce w pychę, słysząc owe pochlebiającej fortuny przez usta ludu słowa: „salwa-torze! zbawicielu nasz!“ Podobnośmy z owym py-sznym zwycięzcą, pomyśleli sobie: któż z rąk moich wyrwać ten naród zdola? Położył trupem przed oczyma naszymi kilka tysięcy dobrej kawaleryi, żebyśmy wi-dzieli, że jako tych wałami leżących, tak i nasze w jego świętej zdrowie jest dyspozycyi; żebyśmy widzieli, że nie wielkość ani moc wojska, ale niebieskie biją nie-przyjaciela potęgi; żebyśmy widzieli, że nie rozum ani doświadczenie nasze, ale ręka Boska daje nad nieprzy-jacielem i przynosi zwycięstwo. Wzięliśmy chłostę we czwartek, żalujemy za grzech i ukorzmy się Bogu w piątek, a znowuć Bóg nas podniesie i da się zem-ścić w sobotę, z psalmistą wierząc, że kogo dziś za-frasuje, to jutro go umiłuje. Pasza sylistryjski tedy po-gromea, tryumfator, zwyciężywszy za wolą boską na-szych i spędziwszy z pola, pozbierał z pobojuwiska owe porzucane kopie, kotły, bębny, chorągwi wiele i więźniów, posłał to do Budy seraskierowi opowia-dając, że zniósł polskie wojsko wszystko, posłał potem i głowę wojewody malborskiego Denhoffa, twierdząc zapewno, że to jest głowa królewska, żeby ją cesa-rzowi zaraz odsyłano, i zaklinając się, że w trzy dni tak będzie i wojsku niemieckiemu, gdyż są już prawie jak w saku. Seraskier ucieszył się tem zwycięztwem, do

poznania owej głowy zwołał ludzi, którzy króla  
brze znali; różni różnie twierdzili. Posyła tedy sara  
wojsko, które przy sobie miał, w pomoc sylis  
skiemu paszy, winszując mu tego zwycięstwa, pro  
żeby dalej prowadził zaczęte zwycięstwo, informują  
jako sobie ma dalej postąpić. Mieli tedy most na  
naju między Budą a Parkany, przeszło wojsko  
ckie na tę stronę Dunaju, do paszy sylistryjsk  
W piątek już tedy miał potęgę większą niż prze  
nadziei pelen, że mu się Niemcy już nie oprą, p  
waż mu Pan Bóg tak poszczęścił. Nasz też król,  
skonfundowany tem nieszczęściem, po staremu  
dobrze tuszył, mówiąc przed cesarskimi jenerałami  
będzie to inaczej. Pan Bóg też to na nas zesłał ni  
teczność wojny“. I tak obie strony cieszyły się nad  
W sobotę rano, to jest 9 października, poszło wo  
nasze pod nieprzyjaciela; niemiecka batalia za  
w trop! przyszli pod Parkany i stanęli szykiem. I  
też jako na miód wyszli w pole z swego obozu i :  
niewiele myśląc, najpierw na te chorągwie sko  
które we czwartek poczęły uciekać; nuż się bić;  
pieroż insze ich hufce na insze też nasze pułki  
rzyły. Paszowie przywodzą osobliwie ten to sylistryjski  
jako ogień wpada na szeregi. Zaweźmie się bitwa  
sarszanie też już blisko następują zamieszają nas;  
ków, przerznięli na dwoje; Turcy w nogi, jedni do  
stu, drudzy do fortecy do Parkanów. Cesarsey te  
spieszyli tamtem skrzydłem od pola: bijże dopiero  
swoich. (Co uciekali pod fortecę, zmieścić się tam  
mogli, ale zaraz zatarasowali sobą bramy; a dr  
w Dunaj). To tak cięto, trup na trup padał, i zara  
jednym zamachem i fortecę wzięto, z której lubo z



poczęto ognia dawać, ale potem i dano pokój, nie wiedząc do kogo strzelać bo się tak nasi pomieszali z Turkami. Owi tedy co nie chcieli szabli polskiej czekać na łądzie, a uderzyli się w Dunaj, jedni tonęli, drudzy napływawszy się wracali nazad do ładu, zdając się na łaskę. Tamci zaś, co do mostu uciekali, jeszcze mizerniejszą ginęli śmiercią, bo w owym tumulcie u mostu, sami się zabijali, ten tego, ten też tego uprzedzając, a tu z tyłu koszą, strzelają, poprostu zły strach. Tak się już tego nacisnęło na most, gmin wielki, owi znowu, co pospychani z mostu, kto w pierwszej chwili nie utonął, każdy się przecie trzymał mostu, uczyniła się wielka mostowi ciżba, że się rozerwał, dopieroż panowie Ottomani pływać, dopieroż się topić. Owi też, co powyżej pod Parkany tonęli, nadpłynęli z wodą, że się Dunaj tak zatkał owymi ludźmi i końmi tak bardzo, aż woda na łokieć i lepiej na brzegi wystąpiła. Parkany wzięto z armatą, lubo ich z Strygonii bardzo broniono potężnie z armaty strychując z tamtej strony, i kule przenosiły i raziły, drugie też i w wodę pluskały. Tam w Parkanach, kto we czwartek swoją chorągiew, kotły stracił, zaraz to znalazł i wziął jak swoje bez sprzeciwiania się jmści pana paszy sylistryjskiego; nawet i więźniów żywcem wziętych tam zastano, bo kilku tylko posłał był seraskierowi przy głowie wojewody malborskiego, a byli tacy błaznowie, że niektórzy mówili, że to królewska głowa, też i podobnym był wojewoda malborski budową królowi, i tak zupełnie tłusty. Legło tedy owo mnóstwo ludzi, którzy się mieli za zwycięzców we czwartek, ci w sobotę zwyciężeni; którzy we czwartek po cudze głowy sięgali, swojej przed szabłą polską w sobotę umknąć nie mogli; którzy

chrześcijańskiej krwi z wielkim apetytem we czwartek pragnęli, swojej się w sobotę podostatkiem nasycili. A toż ze wszystkim dostatkem wzięto paszów sześciu zabito dwóch, żywcem wzięto paszę Alepu i paszę sylstryjskiego, najwyższego nad nimi regimentarza.

Cesarscy uprzedzili naszych do zrabowania i obozu, bo nasi na czele potykając się, już zaniechawszy się czwartkowej konfuzji i krwi braci swoich, już się nie oglądali na rabunki; ale i Niemcy nie tak się obrali jak pod Wiedniem, bo to tam byli ci ludzie, co z pod Wiednia uciekli, już pod Wiedniem zostawili swoje kosztowności, co kto miał, chyba ktoś co ztamtąd z pod Wiednia wyprowadził to pod Parkany utracił, a przytem i zdrowie. Jaka wszystkimu rycerstwu niewymowna pociecha, kiedy Ojciec łaskawy pogroziwszy nam, znowu się obejrzał okiem miłosierdzia swego, przywrócił na trzeci dzień narodu polskiego sławę, dał się zemścić do woli krwi braterskiej, usłał sownie pola trupem ottomańskim, bystre nurty i bezbrodne Dunajowe głębokości. Nie nożem to Bogu mieć opiekę w protekcyi Jego Ś. zostającego ludu. Jakie tam wdzięczne było widowisko Chrześcijaństwu, nabić się dowoli Boskich i swoich głównych nieprzyjaciół, aż ręce ustawiały, a przytem go i oczy ubawić zgubą od mściwej ręki Boskiej potłuczonych. Kiedy ten się tego chwycił, ten tego to; jedni długo pływali ratując się, drudzy zaś jako kamienie do dna grząznięli, a zawoje, jako stada kaczki pływały po Dunaju. Ów hardy sylstryjski pasza, przytłoczony, towarzysza nie bardzo poczesnego do hetmana za karą przyprowadzony, drugi jako gołąb siwy, temuż hetmanowi do

nowi koronnemu, Jabłonowskiemu, przyprowadzony, swoją w niewolę zabrany oplakiwał sędziwość.

Kiedy tak wiele inszych i znacznych prezentowano królowi i hetmanom, kiedy lada luźny pacholek z szubie i zawoju tureckim, na owych gładkich arabskich prezentuje się skoczkach; zgola dość szczęśliwości i wielkiej swej Bóg pokazał łaski, kiedy ową zwartkową konfuzyę tak znacznem zaraz na świeżo agrodził zwycięstwem. Niemcy zaś żywcem nie nie rali, ale zabijali najokrutniej. Nawet i po śmierci nimi cuda robili: włóczyli, pasy z nich darli, rzemień potrzeby z tych pasów wykręcali; jak trzeciego dnia o bitwie, to już z trudnością było obaczyć Turczyzna pobojuwisku z całemi plecami; nawet kiedy z nacych nieostroźnie prowadził więźnia a wjechał między emców, to mu go w rękach zabili.

Synowiec mój Stanisław Pasek, prowadzi Turka na znacznego jakiegoś, bo strojno i na pięknym koniu siedział; już go rozbroił, tylko tak konia pod jego za cugle prowadzi, aż przyjechał Niemiec i zrównawszy się z Turczyzmem, pechnął go szpadą; Turczyzna się stęknął, synowiec się obejrzał, a on już tylko z konia leci, a Niemiec kopnąwszy zaraz na niego, pocznie mu łajać: „A szoldro, taki synu, zabijasz niewolnika, a godzi się to?“ To Niemiec się tylko śmieje a mówi: „Ja, pan brat, pan Polak, szkoda lejeć na tego żywca“. On mu łaje: „żeś ty szelma z szpadaler, już w rękach więźnia zabijać“. A Niemiec tylko umyka a śmieje. Cóż czynić dalej? bo Polacy wielkie do Turków mają zajętrzenie, z przyżęciem im tak wiele poodbierali państwa, prowincyj czuły a drugie, że oni są z przyrodzenia okrutni

i nie umieją w zwycięstwie kawalerskiej zachować miary, a do tego, że ich we wszystkich okazjach bijali Turcy i wcale z nimi nigdzie szczęścia nie gdział, to jak na nich wsiedlił blami, to jak było rznąli.

Po tem tak szczęśliwym zwycięstwie parkań poszło wojsko nasze ku granicy przez węgierską mię; tam między góry wszedłszy, wypadali z górów powstańcy węgierscy i bardzo naszym sprzeciwem się, porywając i zabijając czeladź na czatach i w bory napadając i rabując, a kiedy źle, to w góry się uciekając, mając po sobie dogodne od natury miejsca. Idąc nasi przez Węgry, wzięli Lewoczą i Seczyn, były tureckie załogi. Kiedy zaś podstąpili pod ów Seczyn, potrzeba im było języka (wiadomości) z miasta Kazano koniecznie Kozakom, żeby się o niego zobowiązawszy im nagrodę. Poszło ich kilku w sadybę, nikogo porwać nie mogli, bo ludzie byli ostrożni i wychodzili z miasta; ale obmyśleli sposób taki: dziesięć ich kilkunastu w sadybach, a dwaj poszli do miasta i przypatrując się, postępują coraz bliżej; tam z miasta ich spostrzeżono, rozumiano, że ich do miasta dosięgnąć może; wyręchtowano zatem do nich i przelono z hakownicy; jeden z nich naumyślnie, chcąc nie trafiono, padł na ziemię; drugi począł go wprawy trzeźwić, podnosić, a potem i rozbierać z sukien. Kiedy to Turcy i do owego dali ognia z kilku sztuk armizem; ten w nogi, porzuciwszy drugiego niby zabity i nie obejrzał się, a jeszcze gołemi miejscami uciekał, żeby go z miasta widziano, że ku obozowi idzie. Kiedy niby zabity leży ubrany w suknię jasno-czerwoną, w małej chwili idzie Turczyn rozbierać go; dochodzi

niego, stanął i obejrzał się na wszystkie strony; patrzył i pod drzewa, nie widać nic, przymknął się do niego, spojrzę mu w oczy i widzi, iż je ma zamknięte a zęby wyszczerzone; pocznie się już sposobić do owej ostatniej nieborakowi posługi (hultaj! nie ubierał go a roz-bierać chce); przyklęka i chce mu guziki rozpinąć, a Kozak cap go za kark. Turczyn w krzyk. Ratować trudno, miasto daleko i przez fosę, a tu Kozacy z za-sadzki lecą; Turczyn się wydziera i radby bardzo pu-ścił Kozaka, a Kozak tego nie chce. Przypadli Kozacy, wzięli Turczyna i przyprowadzili królowi. Wyrozumia-wszy król z języka, że przy nadziei Bożej może być w rękach naszych pomieniony Seczyn, kazał do szturmu gotować się. Nastrzelano naszych dużo i kilku ofi-cerów znacznych; ale jak obaczyli Turcy, że nie będą mogli wytrzymać naszego szturmu, poddali się, prosząc o miłosierdzie i tak dano im przebaczenie“.

Takie to bitwy staczali Polacy w obronie Wiary św. i uciśnionych sąsiadów i takie wielkie odnosili zwy-cięstwa. Po tej wojnie Pamiętniki Paska nie zawierają już nie tak ciekawego; są tu już tylko proste zapiski gospodarskie lub inne tego rodzaju szczegóły, które nas obecnie mniej interesują, dlatego też kończymy prze-gład tej cennej spuścizny, jaką są Pamiętniki, a na za-kończenie chcemy jeszcze kilka słów powiedzieć o ich twórcy, to jest o samym Pasku. Znamy już nieco ko-leje jego życia, znamy jego wartość jako pisarza z przytoczonych powyżej ustępów z jego książki, odpo-wiedzmy sobie na pytanie: jakim przedstawia się nam Pasek człowiekiem? jakiego nabieramy o nim wyobra-żenia po przeczytaniu jego Pamiętników? Otóż jest to człowiek ze wszech miar godny szacunku. Jako żołnierz

i oficer jest odważny, aż rozkosz. Żadne niebezpieczeństwo nie jest mu groźne, w najstraszniejszą walkę idzie spokojnie, jakby do tańca, ufny w miłosierdzie i opiekę Bożą. W silnej wierze i tem mocnem przekonaniu, że bez woli Bożej nie mu się złego nie przytrafi, czerpie on siłę do wytrwania w niebezpieczeństwie i do gorliwego spełniania ciężkich nieraz poleceń i rozkazów.

Ta pobożność, z której słynęli nasi ojcowie, nie opuszcza go nigdy i jest stałym jego przymiotem. Nie rozpocznie nigdy niczego, nie wezwawszy poprzednio łaski Bożej i opieki dla siebie i swoich. „Idąc do szturm — opowiada Pasek — zacząłem z tymi, co w mojej komendzie: „Już pochwalmy króla tego“. Tak Bóg dał, że z pod tych chorągwi i jedna dusza nie zginęła, a u innych, co nie śpiewali, *powytykano dziesięcinę*“.

Albo znów dalej opowiada: „Wychodząc tedy z fossy, kazałem ja swoim wołać: „Jezus Marya!“ lubo inisi wołali: hu, hu, hu!“ bom się spodziewał, że mi więcej pomoże Jezus, niżeli ten jakiś pan hu“. I tak zawsze. Gdy Pan Bóg ześle na niego jakie nieszczęście, to przyjmuje ten krzyż z pokorą i poddaniem się woli Bożej. Nie wygaduje przeciwko Panu Bogu, jak to często słyszeć można, nie bluźni. Spaliły się mu raz wszystkie stodoły i stogi i sterty z całorocznem zbiorem, a nasz Pasek pokornie powiada: „że stało się to z woli Pana Boga, *bo On dał i On też wziął*“. Możemy sobie brać z niego przykład i nie szemrać przeciwko Panu Bogu, nie wyrzekać, gdy On w Swej łaskawości ześle na nas jakiś krzyż, bo On jako Ojciec nasz, choć zasnuje, to i pocieszy, choć ukarze, to i wynadgrodzi. A jak on z całego serca, rzewnie dziękuje Panu Bogu za wszelkie dobrodziejstwa, otrzymane w ciągu roku,

to najlepiej przekonywuje nas ten ustęp: „Zakończył się rok ten we wszelkich od Pana Boga szczęśliwościach nietylko publicznych ale i swoich prywatnych, bom był i przez cały rok zdrow i dobrze mi się we wszystkim powodziło. Panie Boże dobrotliwy! racz takich lat używać łaskawie, póki życia mego stawać będzie, a za to niech będzie Imię Twoje Przenajświętsze pochwalone“. Każdy rozdział swych Pamiętników zaczyna od wezwania Imienia Bozego i kończy na podziękowaniu za wszelkie łaski i dobrodziejstwa.

Obok tej czystej i głębokiej pobożności jest Pasek dziwnie i nieraz nader pocieszenie zabobny. Nie jest on bynajmniej głupim, owszem jest człowiekiem wykształconym, znać to z jego Pamiętników, ale mimo to wszystko nie może się otrząsnąć z wiary w różne znaki, przepowiednie i tem podobne gusła, jak się to i dzisiaj, choć już rzadko zdarza. Paskowi jednak nie można się dziwić, że będąc człowiekiem wykształconym, wierzy w rzeczy, z których my się pospolicie śmiejemy, żadnego im nie przypisując znaczenia. Wówczas jeszcze, za jego czasów, podobna łatwowierność, wiara w zabobny była bardzo rozpowszechnioną; najwięksi dostojnicy i ludzie bardzo wykształceni, wierzyli tak mocno w różne gusła, jak dziś zaledwo najprostszy ludzie wierzą. Dziś wiele rzeczy, przedtem nieznanych, odkryła i wyjaśniła nauka, zbadali uczeni ludzie, a wówczas nie mogąc i nie umiając sobie ich wytłómaczyć, zapatrywano się na nie najdziwaczniej i nadziemską przypisywano im siłę i znaczenie. To też i Pasek nie stanowi pod tym względem wyjątku, lecz owszem chętnie przyznaje znaczenie wszelkim nadzwyczajnym, według jego zdania, znakom. I tak opowiada z całym przeję-

ciem się, że kiedy Rakoczy wyjeżdżał na wojnę „pożegnawszy się z matką, wsiadł na konia; w oczach jej padł koń pod nim. Kiedy mu matka persadowała, żeby zaniechał tej wojny, mówiąc, że to znak jest niedobry, odpowiedział, że to nogi końskie złe, ale nie znak. Przesiadł się tedy na innego, aż tu załamał się pod nim most i znowu spadł z konia; na to powiedział, że dyl był zły. Jak to przecie przepowiedzenia te zwyczajnie rade się sprawdzają“ — dodaje Pasek z głęboką wiarą w prawdziwość tej wieści, która jest oczywiście tylko zmyśloną po klęsce, jaka Rakoczego w Polsce spotkała. Nietylko w podobne wieści i znaki wierzy Pasek, ale nawet w „ryby mówiące i jęczące“.

Podobnie wierzy mocno w duchy i djabły po świecie chodzące, jak nas przekonuje ten ustęp:

W całym królestwie Szwedzkim i w Duńskich niektórych prowincjach, djablami tak robią jako niewolnikami i co im każą to czynić muszą, i nazywają ich duchami domowymi. Kiedy był posłem do Szwecji Rej, zachorował mu stangret jego kochany, którego zachorzałego, zostawił u pewnego szlachcica, mając go odebrać powracając nazad do Polski. Ten chory leżał w jednej izbie pustej, a kiedy go gorączka ominęła, usłyszał muzykę, jakąś pięknie grającą. Rozumiejąc, że to tam w innych pokojach grają, leży: aż tu z myśzej jamy wyskoczy jeden chłopak maleńki po niemiecku ubrany, a za nim drugi i trzeci, a potem i damy, muzykę też coraz to lepiej słyhać; poczną tańcować po izbie. Ów woźnica w okropnym strachu. Potem wezmą wychodzić parami za drzwi; wyszła i muzyka, wyprowadzono i pannę zwyczajnie tak jak do ślubu ubraną; nareszcie wyszli wszyscy z izby jemu żadnego



nie czyniąc gwałtu. Biedny stangret ledwo od strachu nie umarł. Wychodząc zostawili jednego malca, który mu mówi: „Nieturbuj się tem co widzisz, bo tu tobie i włos z głowy nie spadnie, my jesteśmy tu pańscy duchowie; mamy też to wesele swoje: żeni się nasz brat, idziemy do ślubu i nazad tędy powracać będziemy i ciebie też weselnego aktu uczynimy uczestnikiem“. Ów, nie życząc sobie patrzeć na owo widowisko, wstał i założył drzwi na haczyk, żeby tamtędy nazad nie powracali. Skoro tam już po owym ślubie powracają, aż drzwi zamknięte, muzykę znowu słyhać, tymczasem, ruszą drzwiami, zamknięte; wlażł jeden malusieńki szparą podedrzwi i uczyniwszy się w oczach jego dużym mężczyzną, pogroził mu tylko palcem, i złożywszy haczyk otworzył drzwi, i tym się znowu co i pierwej traktem prowadzili, i potem w owę myszą jamę powehodzili. W godzinę lub też więcej, wyszedł znowu jeden z owej dziury i przyniósł mu na talerzu kołacza, suto konfiturami i rodzenkami przeplatane, mówiąc: „ten młody posyła ci, żebyś też zażył weselných wetów“ (przysmaków). Odebrał ów z wielkim strachem i podziękowawszy postawił wedle siebie. Przyjdą potem do niego ci, co go doglądali w jego chorobie i ten lekarz co koło jego zdrowia chodził. Pytają: „Kto ci to dał?“ Opowiedział wszystką sprawę. Pytają: „czemu nie jesz?“ powiada: „że się tego boję jeść“. Owi mu mówią: „Nie bądź prostakiem, nie bój się, dobre to są rzeczy, nasi to są domownicy, nasz przyjaciele“. Ów po starremu nie chce. Wziąwszy owi kołacz, przed oczami jego zjedli, powiadając mu: „że się to tu nam często dostaje jadać od nich, a nie nam nie szkodzi“.

Zażywają oni tam tych malców i do roboty i do różnych posług. W tę protekcję Finowie bardzo ufali, aleć nie słyszałem od żadnego Polaka, żeby się któremu szabla na karku wyszczerbiła; bo też zawsze przed okazyą kule przyprawiali, i pocierali je różnemi świętościami.“

Raz był na obiedzie u króla i ujrzał tam obłaskawionego niedźwiedzia, który posługiwał do stołu. Posłuchajmy, jak on dziwnie zapatruje się na niego i wcale mu niedźwiedziego pochodzenia nie przyznaje. „A był tam niedźwiadek, raczej w postaci niedźwiedziej człowieka, około lat 13 mający, którego w Litwie parkany stawiając Marcin Ogiński żywcem osacznikom kazał do sieci nagnać i złapać, z wielką strzelców szkodą, bo go niedźwiedzie srogo broniły, osobliwie jedna wielka niedźwiedzica najbardziej broniła, znać, że to była jego matka; tę skoro osacznicy położyli, zaraz też i chłopca złapano, który był taki właśnie, jaki powinien być człowiek, nawet u rąk i nóg nie pazury niedźwiedzie, ale człowiecze paznokcie były; ta tylko od człowieka była różnica, że był wszystek długimi tak jak niedźwiedź obrosły włosami, nawet i twarz cała, oczy mu się tylko świeciły; o którym różni różnie sądzili; sądzili jedni, że to był mieszaniec; drudzy zaś mówili, że to znać niedźwiedzica porwała gdzieś dziecko bardzo młode i wychowała, które, że jej pierś ssało, dlatego też owo podobieństwo zwierzęcia przybrało. Nie miało to chłopczysko ani mowy, ani obyczajów ludzkich, tylko zwierzęce. W tenże to czas podała mu królowa z gruszki łupinę, pocukrowawszy ją, z wielką ochotą włożył do gęby; posmakowawszy wyplunął to na rękę, i z ślinami cisnął królowej między oczy. Król począł

się śmiać okrutnie. Królowa rzekła coś po francusku, król jeszcze bardziej w śmiech. Ludwika, jako to była gniewliwa, poszła od stołu, król też na owę furjã kazał nam wszystkim pić, wina dawać, muzyce przyjść, nuż w ochotę. Najlepsze jednak to zakończenie: „nie wiem w co się obrócił, czy z niego był człowiek, czy nie był; to tylko wiem, że go oddano na naukę do Francuzów i począł się był mowy dobrze uczyć“.

Z tem wszystkim jest on wcale mądrym człowiekiem i tęgim mowcą. Kiedy trzeba powiedzieć mowę, czy to nad grobem towarzysza broni, czy to w jakimś zebraniu publicznem, czy to na ślubie, czy to w obronie własnej, to Pasek prawi mowy doskonale, które musiały się podobać i robić wrażenie.

A uczynnym jest Pasek bardzo. Dla towarzysza lub przyjaciela zrobi wszystko, na co go tylko stać; gotów narazić się i ponieść dotkliwie straty, byle tylko mógł się przysłużyć milej sobie osobie. A musiał rzeczywiście przez te przyjacielskie usługi stracić wiele, kiedy sam na jednym miejscu mówi: „A co te przyjacielskie usługi w mojem życiu mnie kosztują, o tem sam tylko Pan Bóg wie“. Jednak nie zamykał nigdy serca przed potrzebującym jego pomocy i wsparcia i woli raczej, żeby on stracił, niż żeby kto inny. Względem licznych krewnych i dzieci jego żony jest niemniej uczciwy i sumienny, spłacając każdemu jego należytość. Te przymioty sprawiły, że go powszechnie lubiano i szanowano. Królowie zwłaszcza Jan Kazimierz i Sobieski chętnie go widzieli na swoich pokojach i z nim rozmową się bawili.

Z drugiej strony Pasek nie dał sobie nigdy, jak to powiadają, na nosie grać. Nie zaczął nigdy ni-

kogo, ale zaczepiony nie darował i niejednemu dał się dobrze we znaki. Zawadyaką nie był, burd nie robił, ale nikomu z drogi nie ustąpił i lekceważyć się nie dał. Przybywszy po raz pierwszy do Krakowa, zauważył, że go sobie tamtejsza szlachta lekceważy, nazywając go przybyszem. Pasek wnet sobie poradził i to bardzo prostym sposobem: „Tego w łeb, tego w nos, tego po plecach i tak ci sobie uczyniłem pokój, bo już mię więcej nie nazywali przybyszem“. Tak postępując, żył Pasek dość szczęśliwie, nie zaznawszy wielkich nieszcześć lub kłopotów.

Raz mu jednak szczęście nie dopisało i to przy wyborze żony. Za tą oglądał się Pasek długo, wszędzie — jak utrzymuje — chcieli go mieć zięciem, zewsząd stręczono mu panny piękne i posagi jeszcze piękniejsze, ale się jakoś nie mógł namyślić. Ale, jak to powiadają, kto za długo wybiera, ten i przeberze. Stało się tak z Paskiem. Wzgardziwszy tylu pięknymi pannami ze znacznem wianem, dał się złapać starej wdowie z sześciorgiem dzieci! Posłuchajmy, jak się to stało: „Po tych rozmowach — opowiada Pasek — poszedłem z nią do tańca, a przetańcowawszy usiadłem obok niej. Już mi się też i podobała, a że to z młodu bywała gładka, mnie się też i natenczas widziała młoda, i nigdybym nie rzekł, żeby miała 46 lat, czego potem doszedł, gdym się z nią ożenił, a ja myślałem, że nie ma nad 30 lat. Druga racya cieszyła mię, że widział córeczkę ostatnią, Marysię, we dwóch latach, i miałem nadzieję, że też jeszcze i dla mnie Pan Bóg da jakie chłopczyisko, jakoż i byłoby było, gdyby nie ludzka złość, bo (taka była pogłoska) uczyniono jej coś, żeby więcej nie miała potomstwa, znaleźliśmy nawet w łóżku różne rzeczy,

i ja sam znalazłem spróchniałych sztuk kilka z trumny. Z mego własnego doświadczenia daję każdemu radę, kto to będzie czytał, że kto się z wdową ożeni, przede wszystkim starać się o to trzeba, żeby żadnej białogłowy krewnej, dziecinnej nie trzymać przy sobie i owszem zaraz to z domu wyposażyć; u nas tego pełno było i to nas też zdradziło“. Przesądny Pasek przypisuje brak potomstwa wszystkiemu i wszystkim, tylko nie temu, że tak Bóg chciał. Ale ożeniwszy się raz, żyje Pasek ze swą żoną bardzo przykładowie, jest wzorowym mężem, jak był zawsze dobrym i nienaganym synem.

Jest to więc natura z gruntu szlachetna, pełna dążeń i zapału do spraw dobrych i uczciwych, jest to prawy obywatel, kochający gorąco swą Ojczyznę, dla której przez wiele lat niósł w ofierze życie swe i przelewał krew na polach walk za jej całość i bezpieczeństwo, żołnierz posłuszny, wierny, odważny, rozmiłowany w swym wodzu, nienaganny syn i wzorowy mąż, słowem człowiek ze wszech miar godny szacunku i naśladowania.

Takim przedstawia się nam Pasek po przeczytaniu jego Pamiętników, które niech każdy czyta, jeżeli tylko mu wpadną w ręce, a z pewnością nie uprzykrzy się mu czytanie, ani nie pożałuje czasu, na ten cel obróconego. My tem opowiadaniem, chcieli tylko jednych zachęcić do tej pożytecznej pracy, a raczej zabawy, a tym, którzy nie będą mieli sposobności do tego, dać jakieś wyobrażenie o człowieku tak pięknego charakteru i jego pożytecznych i miłych do czytania Pamiętnikach.

